

SWIAT



ARTYSTKA RADZIECKA

L. P. SZTYKAN, KTÓRA WRAZ Z ZESPOŁEM TEATRU LENIN-GRADZKIEGO BAWI OBECNIE W POLSCE. L. P. SZTYKAN JAKO SINTIA W SZTUCE B. ŁAWRENIWA — „GŁOS AMERYKI”

GÓRNICZE ŚWIĘTO



WAF

4 grudzień jest tradycyjnym Dniem Górnika w którym przodujący oddział polskiej klasy robotniczej obchodzi radośnie swoje święto — „Barburkę”. Karta Górnica przyznała zawodowi górniczemu czołowe miejsce dając mu przywileje i opiekę. Górnicy przez przedterminowe wykonanie planów produkcyjnych przyspieszają podniesienie produkcji węgla do 100 milionów ton rocznie.

WYKONALI PLAN SKUPU ZBOŻA



WAF

Wiele spółdzielni produkcyjnych wykonało już plan dostaw zboża dla państwa. Do nich należy młodzieżowa spółdzielnia im. Komsomołu w Wietlinie III, której członkowie wykonali szybko omloty i odwieźli zboże na punkt skupu.

AGRESJA BRYTYJSKA W EGIPCIE



Keystone

Oddziały okupacyjnych wojsk brytyjskich okopały się wzdłuż strefy Kanału Sueskiego, gwałcąc suwerenność Egiptu. Żołnierze brytyjscy dopuszczają się aktów agresji atakując ludność egipską i strzelając do bezbronných mieszkańców.

KADRY LEKARZY WOJSKOWYCH



WAF

W Wojskowym Centrum Wyszkożenia Medycznego (W.C.W.M.) szkolą się kadry przyszłych lekarzy wojskowych. Pierwszy od prawej w pierwszym rzędzie: przodujący w nauce podchorąży Marian Jędrzejczyk, syn robotnika kolejowego.

ŚWIĘTO MŁODZIEŻY AKADEMICKIEJ



CTK

Z okazji Międzynarodowego Dnia Studenta odbyło się w Pradze olbrzymie zgromadzenie, w którym wzięły udział tysiące studentów uczelni czeskosłowackich, manifestując wolę walki o pokój, socjalizm i przyjaźń między narodami.

ORGANIZATORZY NOWEGO WEHRMACHTU



Keystone

Marionetkowy kanclerz Trizonii, Adenauer i jego protektor Mac Cloy, przybyli do Paryża, by omówić sprawę nowego „Wehrmachtu”. Lud Paryża zareagował na tę beczelną prowokację demonstracjami, w których brały udział ogromne tłumy.

KATASTROFALNA POWÓDŹ WE WŁOSZECH



Keystone

Włochy dotknięte zostały straszną katastrofą powodzi, podczas której ćwierć miliona ludzi postradało dach nad głową. Pomoc dla powodzian zorganizowana została przez organizacje robotnicze. Jednakże reakcyjny rząd de Gasperiego nie tylko że pozostawił ofiary katastrofy na łasce losu, ale swymi zarządzeniami policyjnymi próbuje sparaliżować akcję ratunkową organizacji robotniczych. Sekretariat CRZZ proklamował akcję solidarnościową na rzecz ofiar powodzi we Włoszech. Na zdjęciach (u góry): Plac Św. Marka w Wenecji zalany wodą, (u dołu): mieszkańcy wioski w dolinie rzeki Po ratują swój dobytek na łodziach.



NA SESJI PARYSKIEJ ONZ



Unations

Wystąpienia min. Wyszyńskiego w obronie pokoju znalazły szeroki oddźwięk w całym świecie. Kobiety paryskie obdarzyły ministra Wyszyńskiego żywym gołębiem, jako symbolem walki o pokój. W przemówieniu, wygłoszonym na posiedzeniu Komisji Politycznej ONZ, minister Wyszyński napiętnował m. in. niestychaną ustawę amerykańską, która upoważnia rząd Stanów Zjednoczonych do finansowania akcji dywersyjnej, sabotażowej i szpiegowskiej, zwróconej przeciwko ZSRR, Polsce, Czechosłowacji i innym krajom demokracji ludowej. Minister Wyszyński domaga się by Organizacja Narodów Zjednoczonych zajęła się tym nowym aktem agresji amerykańskiej i zażądała uchylecia ustawy.

W KULUARACH ONZ



Keystone

Egipski min. spr. zagr. Eidin-Pasza w rozmowie z przywódcami arabskimi. Delegaci egipscy w ONZ zaprotestowali przeciwko obtudzie polityki anglo-amerykańskiej szermującej frazesami o pokoju, a równocześnie organizującej agresję.



Minister Wierbiłowski, poparł propozycje radzieckie w sprawie rozbrojenia i zakazu broni atomowej.



Delegat Yemenu i inni przedstawiciele krajów arabskich, wystąpili przeciwko anglosaskiemu imperializmowi.

SPRAWA NIEMIEC i SPRAWA POLSKI (1)

E. OŚMAŃCZYK

W Paryżu rozpoczęła się konferencja ministrów spraw zagranicznych Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Francji z rzecznikiem hitlerowskich generałów, „kanclerzem” Trizonii — Konradem Adenauerem. Celem konferencji jest sprawa przyspieszenia odbudowy hitlerowskiego Wehrmachtu, jako trzonu atlantyckiej armii Eisenhowera. Sprawa odbudowy hitlerowskiego Wehrmachtu wywołała poważne zaniepokojenie narodów Europy. Zarówno gorące przyjęcie, z jakim spotkały się wystąpienia szefa delegacji radzieckiej min. Wyszyńskiego i szefa delegacji polskiej, min. Wierbłowskiego, którzy w zjednoczonych, demokratycznych, pokój miłujących Niemczech widzą drogę do utrwalenia pokoju, jak i protest ludu paryskiego przeciwko przyjazdowi Adenauera do Paryża oraz stanowisko znacznej części narodu niemieckiego, wrogie Adenauerowi — świadczą, że zagadnienie Niemiec coraz lepiej jest pojmowane.

Celem artykułów red. Ośmańczyka jest przedstawienie kwestii niemieckiej na tle wydarzeń historycznych i w świetle wydarzeń bieżących.

Redakcja

I

W STYCZNIU 1947 r. byłem w Londynie. Pewnego dnia miałem możliwość wziąć udział jako obserwator w Konferencji Ministrów Spraw Zagranicznych Czterech Mocarstw, której zadaniem było zebranie (dla przygotowywanej wówczas Konferencji Moskiewskiej) opinii szeregu narodów w sprawie przyszłości Niemiec.

Tego dnia stanowisko Polski oświecił przedstawicielom Rządów ZSRR, USA, W. Brytanii i Francji, ambasador RP Stefan Wierbłowski.

Pamiętam dobrze zdumienie panów Roberta Murphy (USA), Williama Stranga (W. Brytania) i Couve de Murville (Francja), kiedy z ust delegata kraju wielokrotnie napadanego i niszczonego przez Niemcy padło zdanie:

„...ustroj Niemiec ustalony być winien przy współudziale narodu niemieckiego w oparciu o jedność polityczną Niemiec...”

Żądanie jedności państwa niemieckiego, wysunięte przez Polaków, wydawało się przedstawicielom mocarstw zachodnich co najmniej dziwne. W dyskusji z delegatem Polski panowie ci przejawiali

wzruszającą troskę o interesy narodu polskiego, zagrożone — jak im się wydawało — przez tak dalekie od tradycji polsko - niemieckich stosunków, stanowisko Rządu Polski Ludowej.

Obłuda była zawsze najwyższą cnotą dyplomacji krajów imperialistycznych. Pomińmy więc obłudną troskę wrogów Polski o interesy polskie, a zasta-



Wiosna Ludów. Pochód uwolnionych więźniów polskich przez Berlin w r. 1848 (wg. sztychu współcz.).

nówmy się raczej nad przyczynami, dlaczego interes narodu polskiego wymaga właśnie opowiedzenia się za jednością Niemiec i dlaczego stanowisko takie zająć mógł tylko polski rząd ludowy, oraz dlaczego sprawa jedności demokratycznych Niemiec jest ściśle związana z istnieniem niepodległej, demokratycznej Polski.

II

Był już raz taki okres historii, w którym o losach Europy decydowała sprawa jedności Niemiec i sprawa istnienia niepodległej, demokratycznej Polski. Niestety, wówczas siły postępu były zbyt słabe, a idea, która dziś wywalcza pokój światu, w tamtych dniach, w dniach Wiosny Ludów, dopiero się rodziła.

Wiosną 1848 r. lud niemiecki rozpoczął walkę o jedność Niemiec i na barykadach Berlina związał ją ze sprawą niepodległości Polski.

głosi: „Przyjaźń pomiędzy Polską a Niemcami służy pokojowi i wzmacnia dobrobyt naszych narodów”.

Przypomnijmy, że w XVII wieku państwo niemieckie (Rzymskie Cesarstwo narodu niemieckiego) jako całość przestało istnieć. Reakcyjna koncepcja francuska rozbicia Rzeszy na małe państewka została zrealizowana. Tym samym zostały stworzone warunki do rozrostu raka narodu niemieckiego — prusactwa.

W wieku XVIII państwo polskie przestało istnieć. Reakcyjna koncepcja pruska rozbiorów Polski została zrealizowana. Tym samym hegemonia Prus wśród państewek rozbitej w XVII w. Rzeszy była przesądzona. W Niemczech i w Europie po wstrząsach wywołanych rewolucją francuską i awanturniczą karierą Napoleona, zapanowały wszechwładnie rządy wsteczności i ucisku.

Przeciwko tym rządóm wystąpili w 1848 r. ludy Europy. Poczucie międzynarodowej solidarności ludów walczących z tyranią było powszechne. Francuskie Zgromadzenie Narodowe nakazało rządowi Francji „dążyć do braterskich więzów z Niemcami, do odbudowy niepodległej Polski i do wyzwolenia Włoch”. Na ulicach Berlina lud niemiecki domagał się od króla Prus wolności dla Polaków. W niemieckim Zgromadzeniu Narodowym w Frankfurcie nad Menem posłowie lewicy domagali się uchwały następującej treści:

„Zgromadzenie narodowe oświadcza, że rozbiory Polski były haniebnym bezprawiem i uważa, że świętym obowiązkiem ludu niemieckiego jest współdziałanie w odbudowie niepodległej Polski”.

Pod naporem posłów prawicy chwiejne mieszczaństwo odrzuciło projekt uchwały, która mogłaby osłabić Prusy, a tym samym nie mogła zrealizować celu niemieckiej demokracji — jedności Niemiec. W państewkach dawnej Rzeszy i w Berlinie powróciły rządy ucisku.

W Paryżu również zwyciężyła kontrrewolucja. Gen. Cavaignac, jej przywódca, przede wszystkim anulował wspomnianą wyżej uchwałę francuskiego Zgromadzenia Narodowego. W r. 1848 wszystko, co przeciwne było Wiosnie Ludów, było wrogiem zarówno zjednoczenia Niemiec, jak i niepodległości Polski. Obojętnie, czy był to francuski generał, Cavaignac, czy młody junkier pruski, Bismarck. Międzynarodowej solidarności ludów przeciwstawiała się międzynarodowa klika posiadaczy.

Ale w tym samym roku wielkich nadziei i wielkiej klęski ludów Europy zapłonął znicz przyszłej wolności ludów świata: ogłoszony przez Marksa i Engelsa „Manifest Komunistyczny”. Ukazał się on w 1848 roku w lutym w języku niemieckim. W kilka tygodni później w języku polskim, a w czerwcu w języku francuskim. Kolejność ta nie była przypadkowa. Niemieccy twórcy Manifestu przywiązywali olbrzymią wagę w dniach Wiosny Ludów do spraw ludu polskiego.

20 sierpnia 1848 roku redaktor naczelny „Neue Rheinische Zeitung”, Karol Marks, krytykując ostro chwiejność liberałów frankfurckich w sprawie Polski i Prus, genialną myślą określił pierwszy warunek, jaki spełniony być musi, aby lud niemiecki odniósł zwycięstwo nad rodzimą reakcją. Posłuchajmy tedy wywodów Karła Marksa, bo warto są one zapamiętania:

„Na czym opiera się przede wszystkim siła reakcji w Europie od 1815, a nawet częściowo od pierwszej francuskiej rewolucji? Na rosyjsko - prusko - austriackim świętym przymierzu. A co cementuje to święte przymierze? Podział Polski, z którego korzyści ciągną wszyscy trzej sprzymierzeńcy...”

„Jednak dla nikogo nie jest bardziej konieczna narodowa egzystencja Polski, jak właśnie dla nas, Niemców...”

„Rozumie się samo przez się, że nie chodzi o odbudowę jakiejś symbolicznej Polski (Scheinpolen), lecz o odbudowę państwa na zdolnych do życia podstawach. Polska... musi posiadać nie tylko terytorium, lecz i ujścia swoich wielkich rzek i musi posiadać nad Bałtykiem wielki pas wybrzeża...”

Manifestacja ludności NRD na rzecz przyjaźni między narodami polskim i niemieckim. Transparent



„Odbudowa demokratycznej Polski jest pierwszym warunkiem odbudowy demokratycznych Niemiec...”*)

Do tych słów Karola Marksa z roku 1848 dodajmy słowa Fryderyka Engelsa z 1892:

Niepodległość Polski... „jest dla zgodnego współdziałania europejskich narodów koniecznością. Może ona być wywalczona tylko przez młody proletariát polski i w jego rękach jest całkowicie bezpieczna...”*)

III

Po tym niespodziewanym zejściu w odległą przeszłość wracamy od naszych czasów, kiedy zjednoczone nie przez lud niemiecki, lecz przez reakcję pruską niemieckie państwo padło pod ciosami armii, wychowanej na Manifeście redaktorów „Neue Rheinische Zeitung”, Marksa i Engelsa, oraz ich wielkich kontynuatorów Lenina i Stalina, pod ciosami Armii Radzieckiej, a na zniszczonej polskiej ziemi władzę objął wreszcie lud polski.

Historia przyznała rację genialnej myśli Karola Marksa. Po stu blisko latach, dzięki Październikowej Rewolucji, pierwszy warunek odbudowy demokratycznych Niemiec został spełniony. W historii sąsiedztwa ludów polskiego i niemieckiego nastąpił punkt zwrotny.

Jeśli polski Rząd Ludowy domaga się jedności Niemiec, to oczywiście pragnie jedności Niemiec ludowych, demokratycznych, miłujących pokój, takich, jakie miał na myśli Generalissimus Stalin, rzucając w czasie wojny słowa nadziei pod adresem ludu niemieckiego i ostrzegawcze słowa pod adresem waszyngtońskich kretów.

„Historia uczy, że hitlerzy przychodzą i odchodzą, ale naród niemiecki i państwo niemieckie pozostają”.

Polska Ludowa nie potrzebuje się obawiać Niemiec Ludowych. Narodów świata, narodów Europy, narodów polskiego i niemieckiego nic nie dzieli, a wszystko łączy, gdy w krajach ich rządzi lud.

Lecz przyjaźń i pokój między narodami niszczy możliwość ekspansji zaborczych kapitałów i imperialistów. Wystarczy przyrzeć się rozwojowi sprawy niemieckiej w ciągu powojennych krótkich sześciu lat, aby pojąć, ile groźnej siły dla imperializmu ma sama idea przyjaźni i pokoju między narodami.

Cóż się stało? Podczas, gdy lud niemiecki i narody Związku Radzieckiego domagają się jedności Niemiec, mocodawcy panów Murphy’ego, Stranga i de Murville’a dokonali podziału Niemiec. A stworzywszy sztuczny podział wielkiego kraju wielkiego ludu w środku Europy, usiłują pod amerykańskim dowództwem pchać SS-owskie pułki „nad Wisłę, Niemen i Wołgę”. Po to, by móc wystawić SS-owskie pułki, potrzebny był panom z Waszyngtonu, Londynu i Paryża podział Niemiec.

Powstanie Niemieckiej Republiki Demokratycznej stało się „punktem zwrotnym w dziejach Europy”. Przyjaźń ludu niemieckiego z ludem polskim, zawarta w 1848 roku na barykadach Berlina, potwierdzona w 1950 roku w Zgorzelcu, stała się groźna dla okupantów amerykańskich zachodniej Europy.

I oto — wszystko, co wsteczne w Ameryce, Anglii, czy Francji sprzymierza się przeciwko woli ludu niemieckiego, dążącego do zjednoczenia Niemiec, sprzymierza się przeciwko niepodległości Polski. A obok tych „atlantydwów” poszczekuje radośnie sfora zaprzańców: adenauerów i raczyńskich. Pierwsi oświadczała, że naród niemiecki nie może decydować o swych losach, lecz tylko „Organizacja Stanów Zjednoczonych”, ONZ-owska, amerykańska maszyna do głosowania, drudzy zaś ofiarują ziemię polską nad Odrą i Nysą hitlerowskim generałom, byleby tylko chcieli jak największą siłą uderzyć i zniszczyć niepodległość kraju polskiego ludu.

Gniew i pogarda burzą myśli. Lecz bądźmy spokojni. Genialna myśl redaktora „Neue Rheinische Zeitung” wyszła zwycięsko ze stuletniej niesamowicie twardej, historycznej próby i wyzwoliła już setki milionów ludzi żyjących od Pacyfiku aż po Łabę. Ona też wyzwoli i cały lud niemiecki, którego losy są tak ściśle związane z losem wyzwolonego już ludu polskiego.

IV

Polskie stanowisko w sprawie jedności Niemiec jest tylko jedno:

Warunkiem pokoju w Europie jest zjednoczenie Niemiec przez naród niemiecki.

*) Karl Marx: Die Revolution von 1848. Auswahl aus der „Neuen Rheinischen Zeitung“, Berlin, 1949, str. 104, 105, 106, 107.

**) F. Engels: Przedmowa do wydania polskiego 1892 r.



— NIE MAM ZBOŻA! — PROBUJE WYKRĘCAĆ SIĘ STRZĘPEK. NIKT MU JEDNAK NIE WIERZY.

Z WIZYTĄ U KUŁAKÓW

Tekst i zdjęcia: TADEUSZ SARNECKI

JAROSŁAWSKA pszenica sławę miała ogólnopolską. Urodzajna gleba tej części Rzeszowskiego, less, lub mada, tak obfite dawała plony, że w całej byłej Galicji słynne były bułeczki z jarosławskiej mąki pszennej. Kania, pełnomocnik na pow. jarosławski, pochylił się nad wykazem z akcji skupu zboża i ciężko westchnął.

— Nie idzie nam tu łatwo. Małorolni i średniacy sprzedają zboże z ochotą, ale walczyć musimy z kułakami. Torpedują akcję przez opóźnianie omłotów. Taki na przykład Strzępek...

* * *

Przygodnie spotkane auto ciężarowe jechało tylko do Muniny, tutaj spotkaliśmy jednak czarniawego, niskiego chłopca, który po zdaniu całego kontyngentu wóz swój skierował do Radymna. Po drodze mieliśmy Tuczempy, gdzie mieszkał Piotr Strzępek, przysiedliśmy więc i nasz przypadkowy woźnica pognął konia kawałkiem gąszi.

O skupie zboża mówiło się w powiecie przy każdej okazji. Miasteczka i wsie z napięciem śledziły walkę o pełne i szybkie wywiązanie się chłopów z obowiązków wobec państwa, a powszechnie było już wiadome, kto stawiał opór. Nie upłynęło tedy i pięć minut, gdy chłop, obojętny nas z ciekawością zagadnął: — Pewnie w sprawie skupu?

— Jedziemy do Strzępka.

— A, do Strzępka! — Chłop uśmiechnął się. — Znamy go tu dobrze. Rozjeżdża bryką, którą kupił jeszcze przed wojną, gdy kandydował na posła z ramienia OZONU.

Dojechaliśmy do rozwidlenia drogi i chłop ściągnął lejce.

— To już tu. Dom Strzępka w połowie wsi, znajdziecie go łatwo, bo wielki jest jak fabryka.

Zeskoczyliśmy z wozu. Chłop nie odjechał jednak od razu, zwrócił się do nas całą twarzą i powiedział z naciskiem: — Nie dajcie się tylko kułakom ołgać, strasznie to chytre, a Strzępek to chyba z nich najchytrzejszy. Próbował polityki jeszcze i po wojnie, u Mikołajczyka, a teraz zawzięty jest w sobie na wszystko, choć tego nie pokazuje. Tłumaczy się, a zaklina, aby tylko uwierzyć, ale tym razem pewnie i przechytrzył!

Po tych dopiero słowach popędził konia i wóz zaturkotał po szosie, ginąc wkrótce w mgle gęstej jak piana. W mgle tej ginęła również i wieś, do której ruszyliśmy szeroką, wygodną drogą. Gminny pełnomocnik do skupu zboża, nazwiskiem Dokłóz, szedł szybko, zatopiony w przykrych rozmyślaniach. Gmina Munina nie oddała jeszcze zboża w pięćdziesięciu nawet procentach, bo kułacy rozpoczęli dopiero omłoty. Miał z nimi kłopotów co niemiara.

Dom Strzępka wyłonił się przed nami zza wzgórze, ciężki i długi. W matowym świetle mglistego dnia wydawał się pewnie nieco większy, niż był w rzeczywistości. W każdym bądź razie nie liczył mniej niż 30 do 40 metrów długości. Mimo woli gwizdnąłem ze zdziwienia.

— Tak, tak, — rzekł Dokłóz — budynek ten mówi wiele. I pomyśleć, choć Strzępek poza owsem wymłócił już wszystko, odstawił zaledwie trzy tony i coś, zamiast 18.

Strzępka zastaliśmy na podwórzu. Spojrzał na nas spode łba i rozmowę rozpoczynał niechętnie.

— No i cóż, jak będzie z odstawą zboża? — zagadnął go Dokłóz.

Strzępek rozłożył ręce w tragicznym, teatralnym geście.

— Nie mam, mówiłem już! Marnie mi w tym roku sypało, bardzo marnie! A i obsiałem niewiele, tylko 6 hektarów.

Dokłóz wyjął z kieszeni plik papierów, coś w nich wyszukał i patrząc uważnie na Strzępka spytał: — Byliście już na przesłuchaniu w Powiatowej Radzie Narodowej?

— Byłem.

— I w dalszym ciągu upieracie się przy swoim?

Strzępek milczał i tylko małymi, chytrymi oczkami zdawał się nas przewiercać na wylot.

— No widzicie — podjął dalszy ciąg myśli Dokłóz — postawiono wniosek o ukaranie was grzywną na podstawie 22 art. o planowym skupie zboża. Znaćcie przecież ten dekret?

— Ano, znam.

Strzępek niespokojnie przestępował z nogi na nogę, a na jego wyrazistej twarzy zjawiał się szczególny uśmiech. Wzdrygnął się nagle, rozejrzał po mgle i zawołał: — Brr! Jak zimno! Tak skostniałem, że lyknąłbym wódki!

Pełnomocnik nie dał się schwytać w pułapkę.

— Dziękuję, nie piję! — Zajrzał do swych papierów — Gmina pisze, że zalegacie z podatkiem gruntowym, Pożyczką Narodową, z wpłatami na FOR. Razem coś ponad 10.000 zł. Miasto czeka na chleb, a nie dostarczacie zboża; państwo czeka na pieniądze, a nie płacicie podatków. Kpiny urządzacie sobie, czy co. Pamiętajcie upominamy po raz ostatni. Później inaczej będziemy gadać. Po grzywnie przyjść może sąd, sąd surowy.

Strzępek skulił się w sobie, ale widać było i tak, że trudno mu zrezygnować z oporu. Niechętnie, prawie ze złością przyjął dłoń na pożegnanie, wykręcił się na pięcie i odszedł do kapusty.

Wzdłuż całego budynku leżała w wielkiej ilości. Kilka kobiet czyściło ją z podgnilych liści i wносиło potem do obszernej hali, gdzie stały ogromne ka-



Dom Piotra Strzępka jest prawdziwie okazały. Mówi się wprawdzie: poznać pana po cholewach, lecz kulaka poznać można i po jego dworskim mieszkaniu.



Michał Stopyra nie chciał rozstać się ze zbożem i do ostatniej chwili zwlekał z młócką, a matorolni i średniacy dawno już spełnili swój obowiązek.

Dokończenie ze str. 5

dzie do kiszenia. Było to niedawne królestwo Strzępka, prawdziwa kopalnia pieniędzy. Obecnie kiszarnię przejęła Centrala Ogrodnicza, lecz Strzępek i tak zdążył jeszcze sprzedać kiszanej kapusty za 20.000 zł. Podatków jednak nie płacił.

Mgła opadła i na czarnej, lepkiej glebie osiadła błyszcząca wilgocią. Skraczając sobie drogę przez pole, brnęliśmy, z trudem wyciągając nogi z ziemi. Jednocześnie nasłuchiwaliliśmy odgłosów młockarni. Miała dziś pracować u Michała Stopyry, również bogacza wiejskiego, który zwlekał z odstawą tak, jak i Strzępek. Zdawało się nam, że i tym razem spotka nas zawód, lecz dochodząc do końca wsi mogliśmy stwierdzić, że spalinowy motor warczał dość głośno, a wtórował mu jednostajny szum młocki. Przyspieszyliśmy kroku i już wkrótce byliśmy przed szeroko rozwartą stodołą. Rodzina Stopyrów, widząc nas z daleka, coś między sobą poszeptala, a potem podszedł do nas ktoś młody, z chytrym na ustach uśmiechem. Zapytał:

— W sprawie skupu? Młócić będziemy jeszcze z tydzień.

— Ale macie ziarno, czemu więc nie odstawiacie?

— No, jak wymłóci się wszystko.

Głos młodego człowieka nabrał tonów złości:

— Młóćmy przecież!

Prawda. Do tej pory nie raczyli nawet młócić i trzeba było dopiero gromadzkiego zebrania, nacisku matorolnych, aby przynajmniej zaczęli. Za stodołą urosła już wielka sterta słomy, obok stały liczne worki z żytem. Pełnomocnik wyjął notatnik, zapisał: „Michał Stopyra może odstawić całą ilość”.

Rodzina Stopyrów była nieco zdumiona, gdy odeszliśmy od ich zagrody prawie bez słowa. Pełnomocnik wyprostował swą wielką postać, kroczył nieco raźniej niż przedtem, przełamując wreszcie opór kulaków. Przechodziliśmy właśnie obok hektarowego sadu, w którym para gniadych koni ciągnęła bronę. Gospodarz miał dla nas twarz życzliwą, sam przerwał pracę, przystanął i zagadnął:

— Za zbożem?

— A wy jak się nazywacie? — Pełnomocnik sięgnął po notes.

— Majewski, Stanisław, bo są i inni. Ale ja oddałem już 85% i to pierwszy z całego powiatu.

— Jeszcze w sierpniu? To przykład poszedł na

marne, wieś znajduje się na ostatnim miejscu, dlaczego to?

— No, ociągali się różni, myśląc pewnie, że władze o nich zapomną, a teraz młócić chce cała wieś, lecz brak maszyn. Ja mam taką młockarnię, którą sam sobie pobudowałem. Niezbyt to dobra maszyna, ale dla mnie wystarczy. Popsuł mi się jednak motor.

Pełnomocnik od razu się ożywił.

— Na dole we wsi jest traktor Schmidta, weźcie go sobie od jutra, a później zorganizujecie omloty i u sąsiadów.

Powiedziawszy to Dokłóz ruszył naprzód, lecz nagle zatrzymał się i zapytał: — A dlaczego młockarnia dobra jest dla was, a niedobra dla innych?

Majewski nie umiał tego wytłumaczyć, powtarzał: — Sam zrobiłem, a to maszyna skomplikowana jak zegarek, czegoś nie dopatrzyłem i psuje zboże.

— Można ją obejrzeć?

— A proszę bardzo!

Okrążywszy ogrodzenie weszliśmy do zagrody przez bramę. Majewski osiedlił się na resztówce podworskiej z parcelacji jeszcze przedwojennej i dawną oborę zamienił na stodołę. Tam stała ta młockarnia. Istotnie, na pozór nie wyglądała najlepiej, ale gdy Dokłóz poruszył kołem rozpędowym, szła cicho i sprawnie.

— Na kulkowych łożyskach?

— Cały mechanizm obrotowy! — z dumą oświadczył Majewski.

Dokłóz zaperzył się nagle, aż poczerwieniał.

— Coś mi się widzi, że chowacie ją tylko dla siebie. Pierwsi oddaliście zboże, ale innym maszyny nie użyczacie.

Majewski zawstydzził się i bąknął niepewnie: — Motor mam zepsuty, a części zamiennych nie mogę dostać.

— Daję wam przecież traktor Szmida, młóćcie!

— Ja chcę, chcę bardzo, oddałbym resztę zboża do pełnych 100%.

Dokłóz na chwilę zamyślił się, a potem podszedł do Majewskiego i rzekł: — Mam do was prośbę. Widzicie, wy tu w Tucempach jesteście jeszcze zbyt samolubni. Prócz was posiadają nowiutką młockarnię i czternastokonny silnik spalinowy Ledwos, Trelka i Jasiewicz, ale maszyn nie użyczają nikomu. Miejscowych nie użyjcie, a inne sprowa-

dzam aż z powiatu łancuckiego. Gdybyście żyli w tej gromadzie inaczej, nie tak samolubnie, dawno było by po omlotach.

— No tak, to prawda!

— Rozumiecie więc sami, z samolubstwem trzeba skończyć. Powinniście nie tylko sami świadczyć w terminie na rzecz państwa, ale agitować za tym i innych. Nie tylko agitować — zastrzegł się szybko Dokłóz — również pomagać.

Nastąpiła chwila milczenia. Majewski twarz miał szczerą i otwartą, kształtowała się na niej jakaś decyzja.

— Macie rację!

Podał dłoń, a uścisk miał silny. Rzekł krótko: — To moja odpowiedź.

Pożegnaliśmy się. Krótki dzień zaczął pograżać się w mroku i gdy wchodziliśmy do Muniny, zapadł już wieczór. Wieś grzmiła jednak od huku motorów; pracowały tu cztery na raz młockarnie, a jedną z nich przetaczano właśnie do następnej z kolei zagrody. Ustawiono przy stogu i świecąc elektrycznością rozpoczęto nową młóckę. Nadchodzącego pełnomocnika poznał sołtys.

Słyszycie jak młóćcą?!

Weszliśmy w krąg światła. Młockarnia pracowała bardzo sprawnie. Szeleszcząc staczało się do worków zboże. Pełnomocnik nabrał na dłoń gruboziarnistej pszenicy zwanej ostką mikulicką.

— I to tyle walki trzeba stoczyć — rzekł — aby dostarczyć chleba dla robotników i ich rodzin. Prawie że was do tej młocki zmusiłem i nie wstyd wam, wasza gmina znajduje się na ostatnim miejscu w powiecie.

Wypowiadając tych kilka zdań, Dokłóz uważnie badał twarze ludzi. Przeleciało przez nie coś w rodzaju zawstydzienia, lecz dopiero gdy odchodząc zaszyliśmy się w czerń nocy, doleciały nas te upragnione słowa: — Za dwa tygodnie odstawimy już wszystko.

Pełnomocnik mruknął do siebie: — No, zobaczmy! — Nie mógł przewidzieć jak zachowają się pozostali kulacy. Idąc wybijał głośno takt swych kroków. Czerniał mi przed oczami ogromny nieustępliwy.

— Jutro odwiedzimy nowych kulaków. Nie dam się im zjeść w kaszy!

TADEUSZ SARNECKI



Kiszarnia kapusty przynosiła wielkie dochody, ale Strzępek chciałby zatrzymać je dla siebie aby robić dalej interesy i nie płać ani podatków, ani na FOR.



Stanisław Majewski pierwszy wywiązał się ze skupu zboża, ale nie zachęcał do tego innych. Zrozumiał jednak swój błąd — będzie teraz agitował sąsiadów.

STOWARZYSZENIE Książkowych Moli (S.K.M.) z natury swoich zamiłowań z przyjemnością szpera we wszystkim, co jest godne przeczytania. Zauważyliście ostatnio, że zaznacza się u nas coraz wyraźniej pewien gatunek literacki, który można by nazwać „opowieścią biograficzną”.

Nie jest to gatunek nowy. Tak zwana „vie romancée”, czyli „życiorys powieściowy” jest już i w międzywojennym dwudziestoleciu cieszył się na zachodzie Europy dużą poczytnością. U nas utworów tego typu prawie że nie było, natomiast przekłady z języków obcych zalewały nasz rynek wydawniczy. U najlepszych mieszczańskich autorów tego gatunku literackiego (A. Maurois, Stefan Zweig, Emil Ludwig itd.) poznawaliśmy postacie historyczne niejako „w pantoflach”, tzn. od strony plotki, anegdoty, ciekawostki i to nie zawsze autentycznej. Postać główna charakteryzowana była zazwyczaj powierzchownie, w oderwaniu od epoki i tradycji — i zgodnie z upodobaniami mieszczańskiego czytelnika — nie prawda historyczna była celem dociekań autorskich, lecz dążność do „udziwnienia” postaci przez doszukiwanie się w niej często cech chorobliwych, mogących wzbudzić sensację.

Z książek tych czytelnik nie wynosił ani trafnego obrazu epoki, ani wiedzy o omawianym człowieku. Bo kogóż mógł przekonać na przykład długi i błyskotliwy wywód E. Ludwiga o tym, że polityczna zabobność Wilhelma II miała swoje źródło w ułomności jego jednej ręki?

Jakże inne są opowieści biograficzne, które mamy teraz przed sobą.

Uderza w nich przede wszystkim to, że pisarze współcześni — uprzedzając historyków — zajęli się tymi postaciami wybitnych Polaków, które historiografia mieszczańska świadomie i celowo pragnęła ukryć w jak najgłębszym cieniu archiwalnych zażytków. Nic dziwnego! Chodzi tu bowiem o rewolucjonistów, ludzi walki, których pióro, czyn i przykład całego życia — mogły przyspieszyć to, czego swoi i obcy ciemniacy ludu polskiego obawiali się najwięcej: Rewolucję!

Romantyczną postać poety i żołnierza Jakuba Jasińskiego maluje nam z wielką miłością poeta St. R. Dobrowolski, („Jakub Jasiński — młodzian piękny i posepny” Państwowy Instytut Wydawniczy).

Urodzony w r. 1759, świadek prac sejmu czteroletniego, uczestnik kampanii roku 1792 i insurekcji kościuszkowskiej — Jakub Jasiński w swej wybitnej osobowości skupia najlepsze, najradkalniejsze nurty polskiego Oświecenia. Jego krótkie, pełne walki i nadziei życie złożone w obronie wolności na szanach Pragi w roku 1794, całe było poświęcone jednej myśli — myśli o Rzeczypospolitej Ludowej. Ale St. R. Dobrowolski ukazuje nam Jasińskiego nie tylko z mieczem w ręku. W kilku epizodach powieści obrazuje rewolucyjne działanie piosenki czy satyrycznego wiersza pióra generała Jasińskiego, władającego bardzo zręcznie i tym, nie mniej niebezpiecznym orężem rewolucji.

Leon Przemski („Kamieński” Państw. Instytut Wydawniczy) zaznajamia nas z postacią powstańca 1831 r., wielkiego pisarza i działacza, Henryka Kamieńskiego, wprowadza nas w dalsze dzieje porzoborowej Polski. W dalszy trudny i bolesny etap walk ludu polskiego o wolność. To Kamieński określa położenie ówczesnego chłopca tymi słowami: „Brzemie nędzy, które dźwiga włościanin jest tak ciężkie, że mało do niego przyważy niewola Polski.”

Stanisław Strumph-Wojtkiewicz poświęca swoją powieść p. t. „Generał Komuny” (Państw. Inst. Wydawn.) życiu i działaniu Walerego Wróblewskiego. Ten człowiek czynu, żołnierz i polityk po upadku powstania 63-ego roku kontynuuje swą działalność w Paryżu, razem z Jarosławem Dąbrowskim. „Komuna uczciła bohaterskich synów Polski stawiając ich na czele obrony Paryża” — powiedział Karol Marks. Wróblewski, internacjonalista, przyjaciel Marksa, Engelsa i wielu najwybitniejszych ludzi epoki — u schyłku swego życia uważa Waryńskiego i „Proletariaty” za właściwych kontynuatorów swojego bujnego życia.

Aby zamknąć (na razie) cykl opowieści biograficznych, wspomniemy jeszcze opowieść Ireny Krzywickiej o Ludwiku Krzywickim p. t. „Żywot uczynego”. (Państw. Inst. Wydawn.) Pierwszy polski tłumacz „Kapitału” Marksa, wielki uczytel i nauczyciel demokracji był postacią wyjątkową, zasługującą na pamięć potomnych.

Omówione powyżej książki obejmują blisko 150 lat naszych dziejów. Za motto polskich współczesnych opowieści biograficznych można by uważać słowa, które stanowiły zasadę życiową Henryka Kamieńskiego: „Człowiek staje się czymś tylko przez to, czego dokáže”. —

S. K. M.



MARIE ANNE LANSIAUX — „POCHOD 1- MAJOWY”.

SKANDAL W SALONIE

SALON Jesienny w Paryżu jest tradycyjnym przeglądem nowych dzieł francuskiego malarstwa. Na tej wielkiej wystawie współczesnej plastyki, z roku na rok coraz większą żywotność wykazuje nowy francuski realizm, skupiając coraz większą grupę artystów świadomych roli i zadań swej twórczości.

Policja paryskiej prefektury trzymała się dotychczas przynajmniej oficjalnie — na uboczu od ożywionych dyskusji wokół wystawianych prac. W tym roku stało się jednak inaczej. W przeddzień otwarcia Salonu, agenci policji zademonstrowali działanie atlantyckiej pętli — również w dziedzinie sztuki.

5 listopada około godziny 15-ej, na chwilę przed przybyciem prezydenta Auriola, na paryskiej wystawie nastąpiła scena godna najlepszych goebbelsowskich wzorów oraz, przyznać trzeba, najusłużniejszych zmarshallizowanych marionetek. Do miłośników malarstwa dołączył dziarskim krokiem oddział policjantów, którzy... zdjęli ze ścian 7 obrazów.

Dlaczego? Dlatego, że pan Marie, minister zmarshallizowanej oświaty, uznał, iż mogą one dotknąć bądź to lokalnych francuskich dygnitarzy bądź też, co gorsza, amerykańskich okupantów Francji.

Do niebezpiecznych obrazów zaliczono więc m. in. dwa, reprodukowane obok plótka B. Taslitzky'ego. „Henri Martin” i „La riposte” (Odpowiedź). To ostatnie przedstawia walkę strajkujących doke-rów Port de Bouc „przeciw którym obecny pre-

fekt Paryża Baylot rzucił oddziały żandarmerii i psy policyjne.

Skonfiskowano również:

obraz M. A. Lansiaux przedstawiający legalną 1-majową manifestację;

obraz Jean Milhau „Kolportaż Humanité”;

obraz Banquier'a „Dokerzy”;

obraz libańskiego malarza Bezbeziana „Manifestacja”;

obraz Singera „Robotnicy Nicei wrzucają do morza V2”.

Faszystowska akcja policji wywołała zrozumiałe oburzenie francuskiego społeczeństwa. Specjalne wydania pism, poświęcone wydarzeniom w Salonie Jesiennym, wyrivano sobie niemal z rąk. Deputowany Georges Cogniot zapowiedział interpelację w Zgromadzeniu Narodowym. Zebrano tysiące podpisów pod listami protestującymi przeciw skandalowi, jaki nie wydarzył się we Francji od niesławnych czasów Napoleona III i dla którego analogie znaleźć by można jedynie w „polityce kulturalnej” kolaboracjonisty Petaina.

W dniu, w którym prezydent Auriol witając w Paryżu sesję ONZ, mówił o kulturze i wolności — w paryskim Salonie Jesiennym puste miejsca po zdjętych obrazach mówiły również. Mówiły dobitnie o tym, co oznacza kultura i wolność — po atlantycku.



Gérard Singer: „10 lutego 1950 r. w Nicei. Wrzucanie broni do morza”.



ZAŁOGA KOLOROWYCH DRUKÓW

Zdjęcia: J. KOSIDOWSKI

MOŻNA by napisać: „Na początku nie było nic...” Ścisłość jednak wymaga podania prawdziwych cyfr. A więc na początku, to znaczy w roku 1947, były dwie maszyny, pięciu fachowców i jeszcze grupa ludzi chętnych, którzy jednak zupełnie nie mieli kwalifikacji drukarza-poligrafa.

A że zawód ten wymaga naprawdę wysokich kwalifikacji — o czym łatwo się przekonać w czasie wizyty w warszawskich Zakładach Wkłęśłodrukowych i Introligatorskich RSW „Prasa”, dużym przedsiębiorstwie, które wyrosło w ciągu czterech lat na bazie tylko dwóch maszyn.

Oto potężne maszyny rotacyjne; drukują one między innymi „Świat”, który, Czytelniku, w tej chwili trzymasz w ręce, oraz na pewno znany Ci tygodnik „Przyjaźń”. Ile w tych rotacjach skomplikowanych urządzeń! Wystarczy powiedzieć, że maszyny takie drukują równocześnie na różnych odcinkach i różnymi kolorami taśmę papieru długości ponad 50 metrów. Obsługa takiego „smoka” — to rzecz niełatwa. I dlatego wielką jest zasługa specjalisty, obywatela Kuda, który w ciągu paru lat wyszkolił niejednego dziesiątek fachowców.

Niewiele mniej skomplikowane są t. zw. maszyny arkuszowe. Drukują się na nich wielobarwne afisze, plakaty, portrety i t. p. Dziś w dziale tym nie tylko pracują ludzie wykwalifikowani, ale i zrodził się tu pomysł racjonalizatorski, który przyniósł ogromne oszczędności. Warto o nim opowiedzieć: otóż przy druku wielokolorowych plakatów

zdarzało się, że farba nie zdążyła wyschnąć i przy szybkim druku plakaty sklejały się, mimo że jeszcze w maszynie schły w strumieniu powietrza. Pracownik działu, Winkler, pomyślał: zimne powietrze suszy zbyt wolno — ciepłe będzie suszyć szybciej. I wspólnie z trzema kolegami opracował i zainstalował przy maszynie grzejniki elektryczne dla powietrza. Skutek — znakomity! Świadczy o tym cyfra: 64050 złotych oszczędności rocznie....

Wiele zrobiono w Zakładach dla wychowania kadr fachowców. I dziś mają wykwalifikowanych pracowników introligatornia i retuszernia, dział fotografii i zecernia ręczna, montaż i dział linotypów. Jeśli chodzi o ten ostatni, to przy obsłudze linotypów po raz pierwszy w dziejach naszego druku pracują kobiety — i znakomicie dają sobie radę w nowym zawodzie.

W Zakładach wyrosły i rosły kadry nie tylko pracowników wykwalifikowanych, ale równocześnie pracowników świadomych, bowiem niemal cała załoga bierze udział we współzawodnictwie. A traktuje je bardzo poważnie. Dowodem tego jest fakt zdobycia przez Zakłady I miejsca w ogólnopolskim współzawodnictwie drukarni.

Tak więc w roku 1947 było pięciu fachowców i dwie maszyny. Dziś Zakłady Wkłęśłodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa” są największym tego typu zakładem w kraju. Z maszyn i spod wprawnych rąk rozchodzą się na cały kraj czasopisma, plakaty, książki, drukowane coraz taniej, lepiej i staranniej.

Bogdan Winkler, współautor cennego pomysłu racjonalizatorskiego, awansował niedawno na kierownika działu maszyn arkuszowych. Jest jednym z tych, dzięki którym zakład przekracza plany produkcyjne i przoduje we współzawodnictwie drukarni.



Instruktor Franciszek Kud, (z lewej) jest specjalistą od maszyn rotacyjnych. Niejeden młody robotnik zawdzięcza jego staraniom swą wiedzę zawodową.



Oto gładkie, idealnie wypolerowane walce miedziane. Na nie przenosi się wizerunek kolumn druku, które później maszyna rotacyjna odbija na papierze.



Przed drukowaniem należy jeszcze walce wytrawić. Tę odpowiedzialną czynność wykonuje A. Kluzek, który otrzymał tytuł najlepszego trawiacza w Polsce.



Praca przy linotypie uchodziła dawniej za zawód „czysto męski”. Wacława Ciałk jest jedną z pierwszych kobiet, które obaliły ten zakorzeniony przesąd.

BADAMY i pytamy przeszłość, aby wyjaśniła nam współczesność i powiedziała coś o przyszłości — pisał wybitny krytyk rosyjski Bieliński. Taką rolę spełnia świadomy swych zadań społecznych każdy teatr realistyczny.

Goszczący obecnie w Polsce Leningradzki Państwowy Akademicki Teatr Dramatyczny, który ma blisko dwusetletnie tradycje sceny Aleksandrowskiej, bijącej się w najlepszej części zespołu o postępowe, realistyczne tendencje, teatr ten przybrał w r. 1937 imię Aleksandra Puszkina. Nie był to na pewno jeden z formalnych aktów uczczenia wielkiego poety w jego roku jubileuszowym. Ale bezpośrednie nawiązanie do istotnych wartości poglądu na świat i twórczości Puszkina, którego dążeniem było — jak to ujmuje jeden z jego badaczy — „ujrzeć, poznać i odzwierciedlić życie społeczeństwa, narodu w jego rozwoju, w przemianach, zdać sobie sprawę ze współczesności jako z wyniku rozwoju dziejowego, a jednocześnie dostrzec w dniu dzisiejszym zawiązki przyszłości”.

Stąd ludowość i historyzm poezji Puszkina. Stąd i jego walka o „ludowe prawa dramatu”, o teatr głęboko narodowy, który by ukazywał ludzi i wydarzenia w całej ich prawdzie.

„Dramat narodził się na rynku” — głosił Puszkina. Upadł dramat wtedy, gdy poszedł w służebną zależność od pałaców, gdy obniżył swój ton i „porzucił język powszechnie zrozumiały”.

Ządał Puszkina, żeby dramat powrócił na „rynek”, żeby był wyrazicielem „namiętności ludu” i „swobody sądów rynku”. Cel dramatu? — Odpowiada Puszkina: — „Człowiek i naród. Ludzki los, los narodu”. I jeszcze: „Prawda namiętności, prawdopodobieństwo uczuć w stosownych okolicznościach — oto, czego domaga się nasz rozum od dramaturga”.

Taki dramat realistyczny, taki dramat naprawdę narodowy — zdawał sobie z tego sprawę Puszkina, autor „Borysa Godunowa” i „małych tragedii” — natrafił w epoce feudalno-burżuazyjnej przemocy „na przeszkodę nie do pokonania”. A żeby dramat ludowy „mógł wejść na scenę, trzeba zmienić i obalić obyczaje, moralność i pojęcia całych stuleci”.

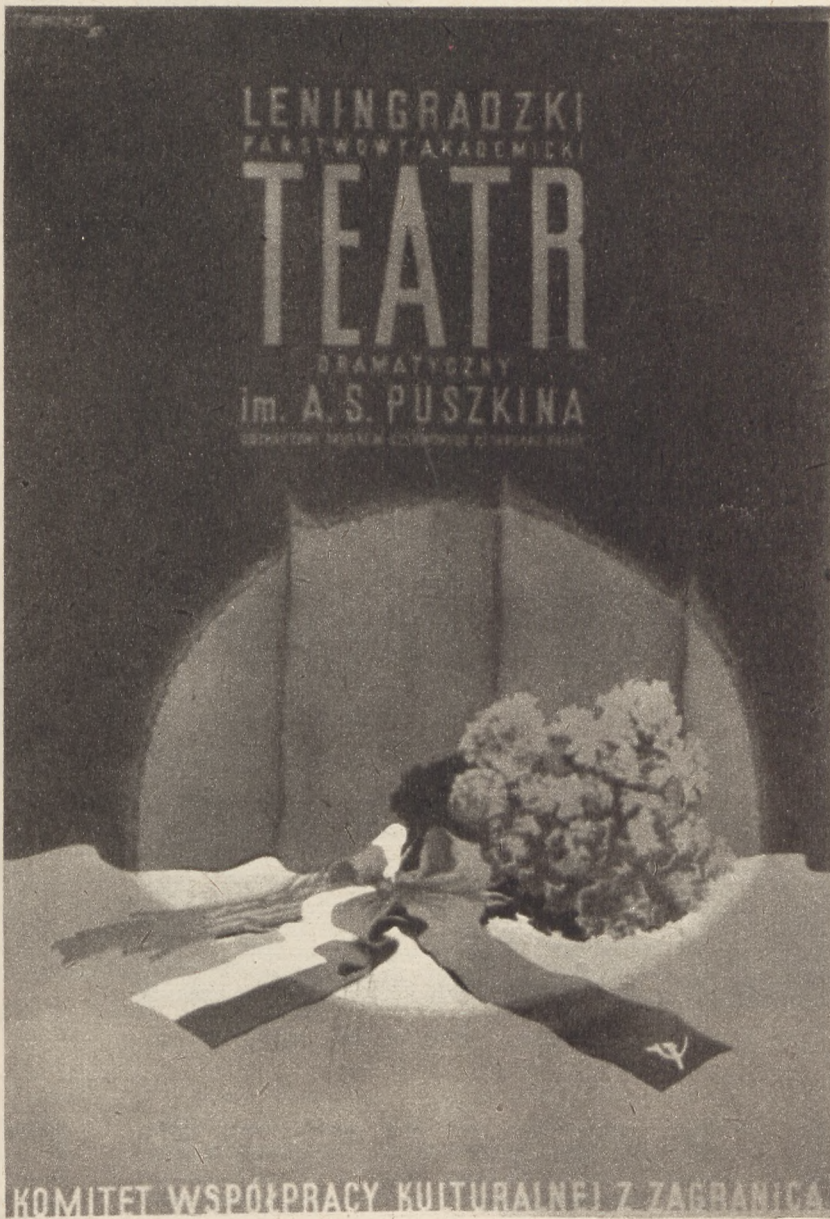
Teatr Leningradzki rozpoczął swe występy u nas „Niezapomnianym Rokiem 1919” — niedawno zmarłego Wsiewołoda Wiszniewskiego. Jest to sztuka i jest to przedstawienie — w prostej linii realizacją mądrych i żarliwych wskazań Puszkina, podejmowanych przez postępowe dzieła teatru rosyjskiego.

Sztuka Wiszniewskiego, dramatyczny obraz prawdy historycznej, równocześnie jakże silnie atakuje zagadnienia współczesności. Autor umiał ukazać rzeczywistość w jej rozwoju, wyakcentować historyczny rodowód spraw dzisiejszych, dać perspektywę logicznej przyszłości. Konflikt „Niezapomnianego Roku 1919”, walka dwóch obozów, rozogniona triumfem Rewolucji Październikowej — trwa nadal.

Jeden obóz dąży do tego, aby w trwałym pokoju i poprzez zwycięstwo socjalizmu stworzyć — jak to wyraził wielki humanista i płomienny realizator Idei Rewolucji Październikowej, Maksym Gorki — „dla wszystkich

CZŁOWIEK i NARÓD

STANISŁAW W. BALICKI



ludzi i dla każdej jednostki warunki swobodnego rozwoju wszystkich sił i zdolności, stworzyć dla wszystkich jednakowe możliwości osiągnięcia tych wyżyn, na które wznoszą się tylko wyjątki, tylko tak zwani „wielcy ludzie”.

Drugi obóz zbrojną interwencją, dywersją, prowokowaniem kontrrewolucji, sabotażem, upadaniem ludzi — dąży do przedłużenia czasów ciemnoty i zwyrodnienia moralnego, barbarzyństwa i niewoli w szponach drapieżnego kapitalizmu.

Po której stronie będziemy?

Kto nie jest tylko bierną marionetką na widowni dziejów, to w swoim kraju przeżywa rozgrywający się na różnych frontach życia politycznego, gospodarczego i kulturalnego ten sam konflikt „Niezapomnianego Roku 1919”, to widzi wroga w imperialistycznych

interwentach w swobodne życie wolnych narodów, w imperialistycznych przygotowaniach do światowej wojny. I może dla potwierdzenia swego patriotyzmu powtórzyć słowa radosnego listu Gorkiego do reformatora teatru, Konstantego Stanisławskiego:

„My żyjemy właśnie w tym kraju szczęśliwym, w którym szybko powstają wszystkie warunki niezbędne dla wszelakiego materialnego i duchowego wzbogacenia się, warunki dla wolnego rozwoju sił, zdolności, talentów narodu.

Nie odczuwają szczęścia, że żyją i pracują w tym kraju, tylko ludzie ubodzy duchem, którzy widzą jedynie trudności wzrostu i którzy z łatwością sprzedadzą swą duszę za miskę soczewicy mieszczańskiego spokojnego dobrobytu”.

Sztuka Wiszniewskiego ukazuje słuszną drogę wielkiego patriotyzmu proletariatu. Patriotyzmu, którego fundamentem — umiłowanie człowieka i wiara w niego, walka o godność każdej poniewieranej jednostki, o jej prawo do życia i działania w wolnym, szczęśliwym narodzie. Dzieje człowieka i dzieje narodu są najściślej z sobą związane. Do narodu nie przynależą odpadki człowieczeństwa i odpadki społeczeństwa, które stoczyły się na pozycję wroga. „Z wrogiem będziemy postępować jak z wrogiem. To my ich zdusimy do końca” — zapewnia Stalin — w pierwszym obrazie sztuki Wiszniewskiego — odpowiadając Leninowi na jego plany „najważniejsze”: budownictwa pokojowego.

Ten zasadniczy nurt sztuki, napisaanej z pasją i z mądrym rozumieniem harmonii artystycznej, — stał się też głównym tematem bogatej, barwnej, znakomicie zdramatyzowanej epopei scenicznej, jaką jest przedstawienie w reżyserii L. Viviena i W. Mechnieowa. Każdy obraz sceniczny, każda rola jest odbiciem stosunków społecznych, wykładnikiem idei. Wyraża nasze rewolucyjne spojrzenie na rzeczywistość.

Podstawową siłą przedstawienia jest kapitalnie zindywidualizowany, wolą reżysera i kreacją aktora wzbogacony w stosunku do tekstu sztuki — prawdziwy człowiek, człowiek zawsze wtopiony w zespołowość. Przedstawienie posługuje się często ensembled, scenami zbiorowymi. Stanowią one zawsze tło, nie narzucając się widzowi natręctwem naturalistycznych szczegółów, natręctwem nieustannych „zagrań”. Tym, co ktoś u nas przy jakiejś sposobności trafnie nazwał „prywatnym życiem statystów”.

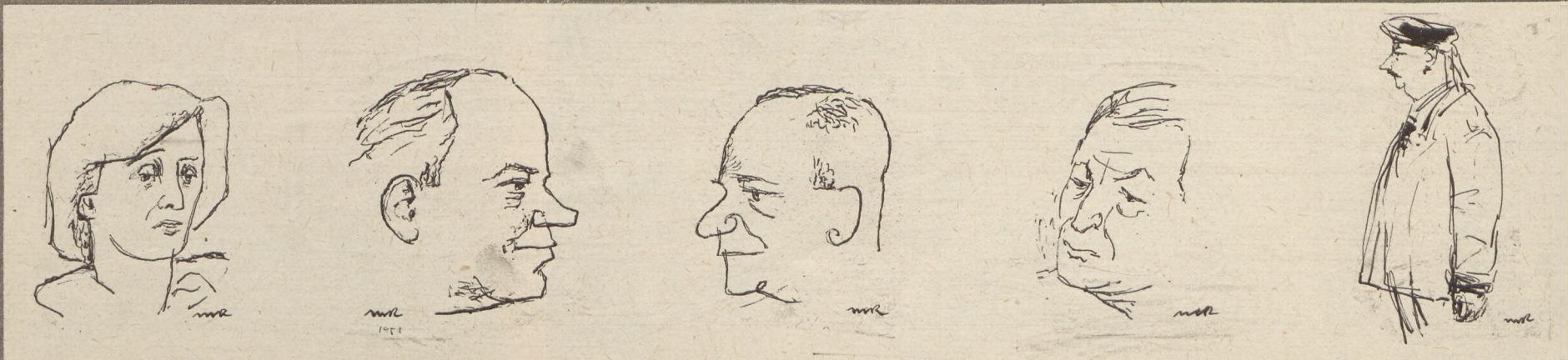
Gdy trzeba, reżyser wyodrębnia poszczególne grupy czy jednostki, skupia na nich uwagę, wiąże otoczenie z nimi tylko o tyle, o ile realizm akcji i sens sceny tego wymaga. Każda jednak rola w konkretnym momencie dynamizuje się, by ukazać potrzebę i znaczenie jednostki, w kolektywie. Ta sama zasada stosowana jest i przy ukazaniu świata wrogiego, aby i jego nie schematyzować.

Że w teatrze radzieckim podłoże zasad zespołowości gry jest głęboko ideowe, dowodem — przeprowadzenie przez całą sztukę postaci, jak i ich oddziaływania, Lenina i Stalina. Nie ma w ujęciu tych ról absolutnie nic patetycznego, są na wskroś ludzkie. Postać Lenina — wyrazista w swej charakterystyczności, postać Stalina — skupiona i prosta. Tą samą metodą nieomylności „autentyków” i prawdy ludzkiej, potraktowane są postaci marynarzy czy robotników, ludzi radzieckich, z pyszną postacią marynarza - czekisty Szybajewa.

Wielkość Lenina i Stalina została wycieniona ładunkiem ideowym włożonym w teksty, które mówią i atmosferą bezpośredniości, serdeczności i szacunku, jaki ich otacza. Wyra- stają z masy proletariackiej, ludzi pracy, są urealnieniem ich idei, ich dążeń. Są ludźmi, którzy wyrażają to, co najistotniejsze w narodzie, a przez to najbardziej ogólnoludzkie.

Z aktorami Teatru Leningradzkiego, z których tym razem najsilniejsze wrażenie wywarli Skorobogatow (Lenin), Jancat (Stalin) i Merkuriew (Szybajew), spotkamy się jeszcze na kilku przedstawieniach i raz jeszcze na łamach „Świata”.

Rys. MAREK RUDNICKI



E. Wolf Izrael
zastępcza artystka RSFR.

K. Skorobogatow
Ludowy Artysta RSFR.

Główny reżyser L. Vivien
Ludowy Artysta RSFR.

W. Jancat
Ludowy Artysta RSFR.

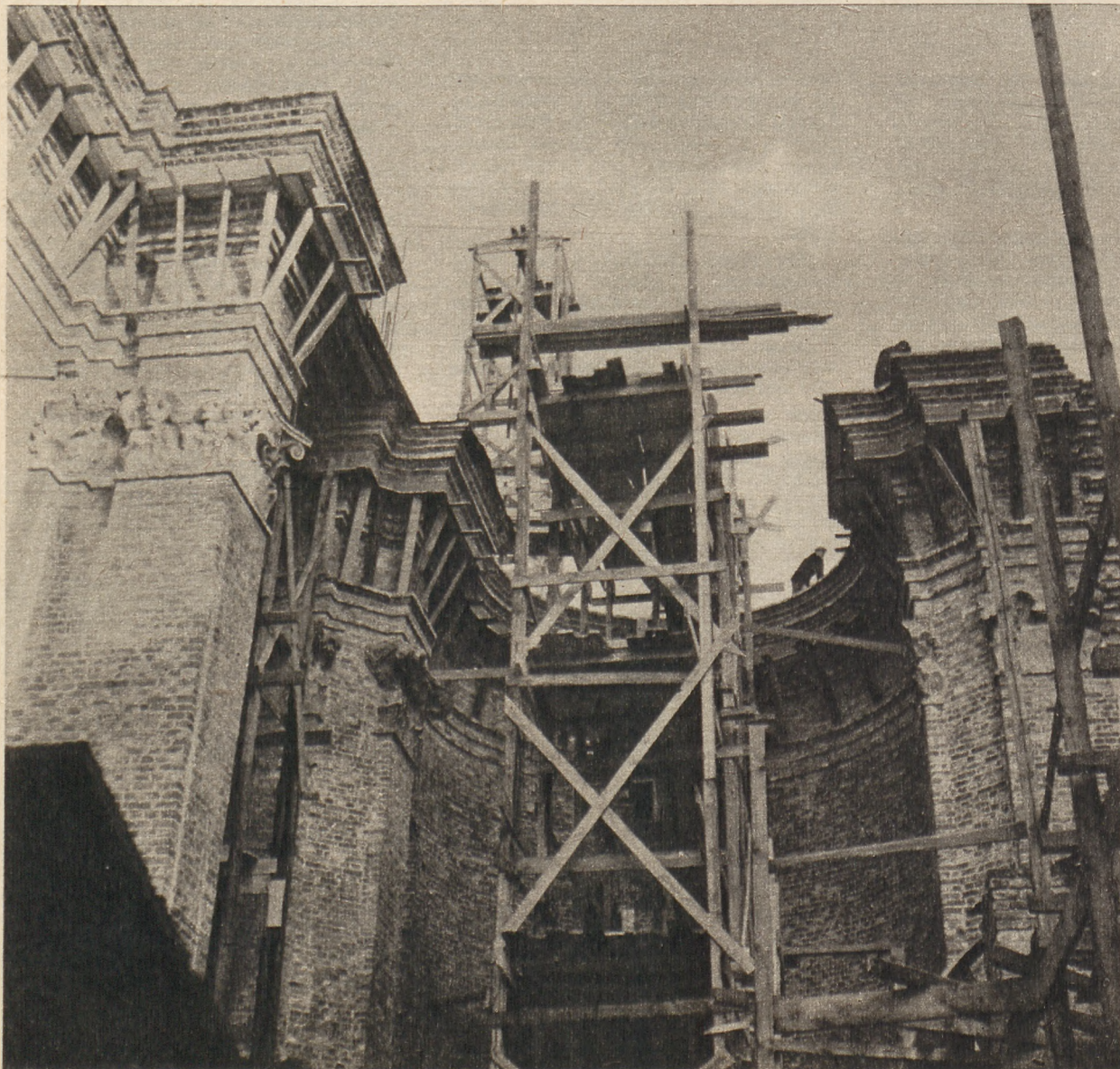
W. Merkuriew
Ludowy Artysta RSFR.



RYNEK — SERCE STAREGO MIASTA — SPOWITY JEST SIATKA WYSOKICH RUSZTOWAN.

Stary kościół Augustianów przy Piwnej był prawie doszczętnie zniszczony. Do jego rekonstrukcji posłużyły zachowane sztychy i fotografie. Dziś świątynię jak i okolice ulicy Piwnej ogarnęła odbu-

dowa. Odtworzono już obie nawy oraz wieżę z pięknym barokowym hełmem. Odnawiane kamieniczki — na Piekarskiej, Wąskim i Szerokim Dunaju wkrótce zapelnia się nowymi lokatorami.



Pierwsza poczta dla nowych lokatorów. W głębi piękne, gotyckie arkady Barbakanu i fragment murów.

MURY PRZYWRÓCONE ŻYCIU

JERZY JARUZELSKI
Zdjęcia: Z. MAŁEK

PĘKAŁY od żaru średniowieczne polichromie i freski, rozpadały się piękne jak łądoga kwiatu gotyckie żebrowania Katedry, waliły się misterne, zadziwiające lekkością i kształtem sklepienia. Hitlerowskie bomby strącały zawieszzone pod niebem koronkowe attyki kamieniczek przy Rynku. Hitlerowcy niszczyć miasto chcieli również wyrzeźić Warszawie jej zabytkowy klejnot — Starówkę.

Na palcach jednej ręki można było zliczyć zachowane zabytki — cudem ocalałe modrzewiowe stropy u Baryczków, skrawki postrzępionych pociskami murów obronnych, fragmenty gotyckiego prezbiterium Św. Jana, jakieś resztki barokowych odrzwi, jakieś okrucy rzeźb. Reszta spopieliała, zmieniło się w gruzy gniazdo warszawskiego ludu, owoc pracy dziesiątków pokoleń.

*

W perspektywicznym skrócie rysunku trudno dostrzec zarysy ulic — natłoczone, śpiczaste dachy

Już wkrótce znikną z krajobrazu Starówki te ostatnie, postrzępione zwaliska wypalonych domów.





WE MGLE CIEMNIEJE GOTYCKI GRZBIET KATEDRY I WIEŻA KOŚCIOŁA PRZY PIWNEJ.

kamieniczek, poprzątkowane wyniosłymi hełmami kościelnych wież, zarastają wnętrza opasane podwójnym pasmem murów i grubych, przysadzistych baszt. Barbakan, starożytne zwodzone mosty, fosa. Za fosą szeroka aleja, sylwetki spacerujących ludzi, samochody — od strony Pl. Zamkowego nadjeżdża trolejbus. Pokaznych rozmiarów, artystycznie wykonany szkic, nie jest malarską fantazją. Jest on obrazem Starówki takiej, jaką będzie za kilka lat, gdy zakończy się odbudowa.

*

Dziś stoją już w czerwieni cegieł prawie wszystkie kamieniczki na Piwnej, Wąskim i Szerokim Dunaju, dźwiga się Jezuicka, Piekarska i Rynek. Błyszczą szyby w słynnym, fukierowskim domu. Odnowione są już kamienice: „Pod Murzynkiem“, Baryczków, Schlichtingowska, Balcerowska. W tym roku do Staromiejskiego Osiedla przybyli pierwsi lokatorzy. Wprowadzili się do nowoczesnych, przestronnych mieszkań w starych domach. Przyszli z odległych peryferii, z ruder, przodownicy pracy —

murarze i metalowcy — nowi gospodarze starego zakątka.

Pieczętowała i niezwykle skrupulatna praca architektów i konserwatorów pozwoli Staremu Miastu odzyskać jego dawne, zagubione i zatarte przez kapitalistyczne przyróbki piękno. Przywrócone będą uliczki całkiem nam nieznane — jak wąski prześmyk od Piwnej, wychodzący przed monumentalną fasadą Katedry, jak uliczka Dawna, zamurowana w połowie XIX wieku, biegnąca od Jezuickiej ku Wiśle.

Dawniej, Starówka ze swą biedotą, zepchnięta na margines warszawskiego życia, była zaniedbana i cicha. Niekiedy zaplatał się tam jakiś turysta, lub miłośnik zabytków — podumał, poszedł. Obecnie, na Starym Mieście, jak na MDM czy Muranowie, robotnicy wznoszą rusztowania, kładą cegły na murze, upinają freski i sztukaterie. W miejscu, gdzie kiedyś zżarło je zniszczenie, kładą kunsztowne, beczkowe stropy, ochlapują tynkiem ściany fukierowskich piwnic, dopasowują ciemne, dębowe drzwi do winiarni. Odbudowują, troskliwie i ofiarnie, średniowieczne osiedle w socjalistycznej Warszawie.

Rusztowania na wąskiej ulicy Piwnej zajmują niejednokrotnie całą szerokość jezdni. W zaułki



Starego Miasta nie dotrze kopaczka lub potężny spychacz, można tam tylko wjechać wozem.



STROFY O STARYM MIEŚCIE

Jest u nas kolumna w Warszawie.
Na której usiadają podróżne żurawie.
Spotkawszy jej liściane czoło wśród obłoka;
Taka, zda się, odludna i taka wysoka!
Za tą kolumną, we mgły tęczowe ubrana,
Stoi trójca świecących wież świętego Jana;
Dalej ciemna ulica, a z niej jakieś szare
Wygląda w perspektywie sinej Miasto Stare;
A dalej jeszcze we mgle, która tam się mroczy,
Szkła okien — jak zielone Kilińskiego oczy,
Czasami uderzone płomieniem latarni,
Niby oczy cichego upiora spod darni.

(Juliusz Słowacki — „Uspokojenie“)

Stare Miasto! Znam treść twą, znam twych ulic wnętrza,
Gdzie tłum świątyń i domostw bezładnie się spiętrza
Gdzie jak Patrycjusz dumny, choć w odzieniu zmiętym
Stoją domy „Pod słońcem“, „Pod lwem“, „Pod okrętem“
Gdzie wieki, rozkochane w gotyckiej strukturze,
Ślad wspaniały na każdym zostawiły murze.

(Artur Oppman, Or-Ol — „Staremu Miastu“)

Zadudniła po bruku drynda jednokonna,
I cisza. Wieczór ciepły. Tramwaj huczy, dzwoni.
A znad Wisły, ze stacji Most — Wawer — Jabłonna.
Słychać, jak gwizdzą kolej. Ktoś gra na harmonii.
Czeremchy pachną mocno. Znad wiślanej łachy
Wszedł księżyc i posrebrzył staromiejskie dachy.

(Antoni Słonimski — „Popiół i Wiatr“)

Jak gdyby się na nowo zrastał
Kościół świętego Jana, grób,
Który dziś leży nam u stóp
W pustyni umarłego miasta.
Jak gdyby wapiął się i rósł,
Sklepienia łączył, spajał łuki
Ponad zwaliska, cegły, gruz.
Porozrywany dziś na sztuki,
Wstawał jak dzień z przepaści gróz.

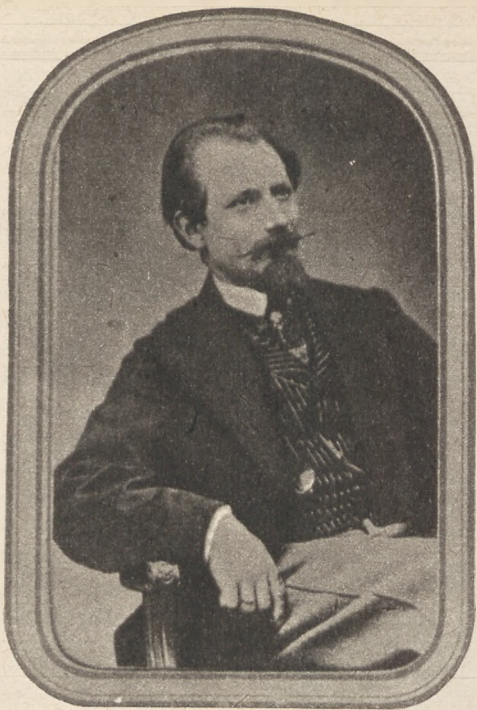
(Mieczysław Jastrun — „Ruiny Katedry Świętego Jana“)

Warszawski wiatr —
Po Starówce i Mariensztacie,
Warszawski wiatr —
Wy się w nim jak ja zakochacie.
Warszawski wiatr,
Srebrny wiatr, jak wiślana syrena,
Jak fortepian Szopena,
Nieśmiertelny, warszawski wiatr!

(K. I. Gałczyński — „Warszawski wiatr“)

Tak wyglądają zrekonstruowane kamieniczki od podwórka. Na wiosnę będą tu założone trawniki.





WÓDZ KOMUNARDÓW

W 115 ROCZNICĘ URODZIN JAROSŁAWA DĄBROWSKIEGO

STANISŁAW STRUMPH-WOJTKIEWICZ

ILUSTRACJE Z ARCHIWUM WYTWORNI FILMÓW DOKUMENTALNYCH

PO NIEUDANEJ próbie odebrania ludowi paryskiemu armat, burżuazyjny rząd Thiersa uciekł dn. 18 marca 1871 r. do Wersalu. Tymczasem formowała się w Paryżu władza ludowa. W olbrzymiej sali, w której jeszcze tak niedawno we wspólnych złotych mundurach i wytwornych toaletach tańczyło Cesarstwo — zebrali się przedstawiciele batalionów Gwardii Narodowej, wybrani w swoich dzielnicach. Byli w grubych żołnierskich lub robotniczych butach, nosili zwykłe wełniane czapki. Nie widać było ani błyszczących naramienników, ani mundurów. Pod ozdobnymi plafonami zasiadali jako pierwszy rząd Francji ludowej. Rozpoczęły się obrady. Pierwszą troską Komitetu Centralnego było rozpoznanie w ciągu najbliższych dni wyborów do Komuny Paryskiej. Drugą troską było zapewnienie władzy ludowej bezpieczeństwa...

Zaraz następnego dnia zdyszany gwardzista doręczył Jarosławowi Dąbrowskiemu wezwanie do Rady Wojennej Komitetu Centralnego. Dąbrowski szedł przez zatłoczone ulice, na których panował nieopisany ruch. Wyprowadzały się ministerstwa Thiersa, wychodziły na lewy brzeg i dalej ku Wersalowi, oddziały i grupki armii regularnej. Orszaki te nastrojone były ponuro, ewakuowały Paryż w popłochu i zwątpieniu. Natomiast pełne entuzjazmu były bataliony Gwardii Narodowej, ciągnące ku Ratuszowi i zajmujące gmachy ministerstw.

Postanowienia Komitetu Centralnego już rozchodziły się po mieście i wywoływały radość świątecznie nastrojonych tłumów. Kobiety powtarzały sobie z rozjaśnionymi twarzami, że wstrzymane zostały eksmisje z mieszkań i licytacje niewykupionych przedmiotów w lombardach, a także wiadomość o rozpoczęciu wypłat dla robotników i gwardzistów. W radosnym nastroju obcy ludzie składali sobie życzenia i szli olbrzymim potokiem przed Ratusz — cieszyć oczy dekoracjami z purpury i złota, którymi przystrajano gmachy publiczne. W drodze burzliwie oklaskiwano oddziały gwardzistów, pośpiesznie maszerujące w kierunku więzień dla wykonania jednej z pierwszych uchwał Komitetu Centralnego — uwolnienia więźniów politycznych.

Jarosław Dąbrowski zatrzymał się przed świeżym afiszem, na którym wydrukowany był wiersz rewolucyjnej poetki Louise Michel:

Powszechna Republika świata
Jak zorza płomienna już świeci
I ludy ramieniem oplata,
Jak matka przygarnia swe dzieci!
Na wschodzie wolności poświata
Zwiastuje nam wielkie stulecie...

W tłumie już ktoś usiłował dobrać melodię do dalszych słów i nucił:

Do boju! W tym wielkim momencie
Ten silny — kto umie umierać,
Republika twoja się świeci!
Niewoli skończyła się era!

Na placu przed Ratuszem obozowało dwadzieścia tysięcy gwardzistów. Prawie każdy z nich miał na bagnecie bochenek chleba. Pięćdziesiąt dział i kartaczownic pilnowało serca rewolucji.

— Obywatel Dąbrowski wezwany przez Komitet Centralny! — wołał eskortujący gwardzista mijanym wartownikom. W wielkiej sali tronowej roiło się od oficerów, gwardzistów, cywilnych. W sali z widokiem na Sekwanę kilkadziesiąt osób pisało przy długim stole. Na innej sali obradowała Rada Wojenna. Padło nazwisko: Dąbrowski. Oficer wstał i skupił na sobie uwagę wszystkich, odpowiadając na pytanie, co należy uczynić pod względem wojskowym w celu zabezpieczenia Komuny.

Szczupły, niewysoki Polak energicznie i rzeczowo, choć złą francuszczyzną, odpowiedział:

— Natychmiast, zgromadzić bataliony Gwardii Narodowej... Natychmiast zaatakować Wersal... Natychmiast rozprężyć tamtejsze niepopularne w kraju Zgromadzenie Narodowe... Przede wszystkim — opanować forty... I klucz Paryża, fortecę Mont Valerien...

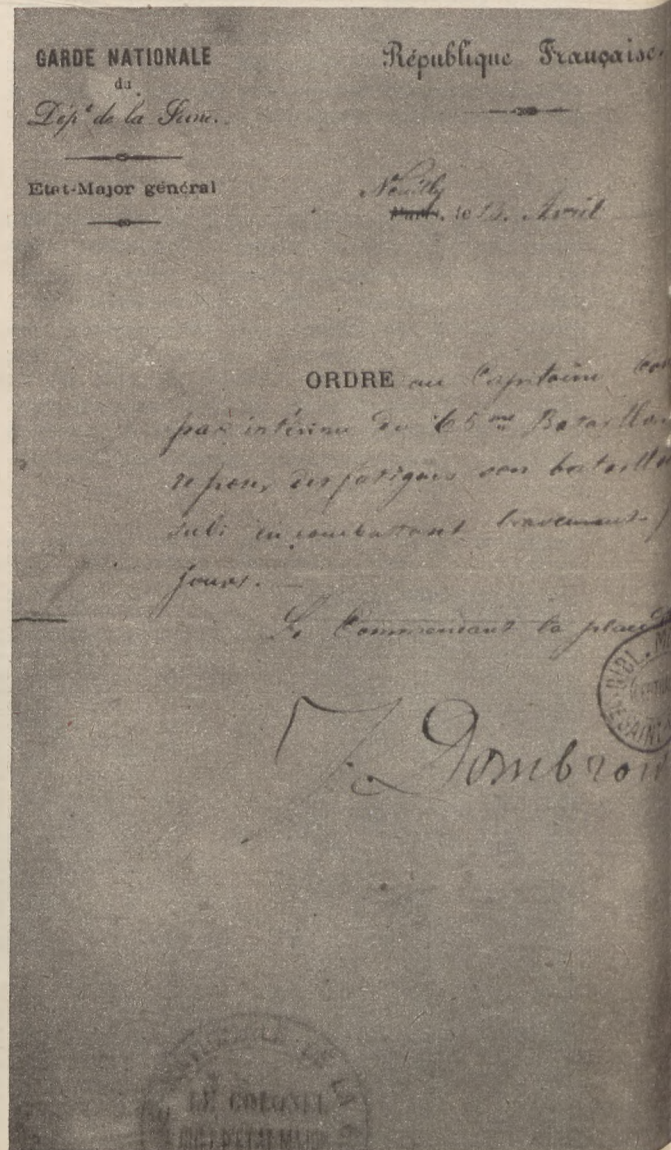
Odpowiedź utonęła w dyskusji — czy rewolucja jest ruchem wyłącznie paryskim, czy kraj nie oskarży Paryża o napaść... Przedstawiciele batalionów byli różni, jak różne były same bataliony: w dzielnicach robotniczych składały się z samych robotników, gdzie indziej przeważały w batalionach elementy drobnomieszczańskie...

Dopiero po wyborach do Komuny Paryskiej, po chaotycznie przeprowadzonej i nieudanej wyprawie na Wersal, po rozpoczęciu przez Thiersa oblężenia Paryża, dn. 7 kwietnia żołnierze Komuny zobaczyli po raz pierwszy nowego dowódcę. Jarosław Dąbrowski obszedł pierwsze linie pod ogniem nieprzyjaciela, co od razu podbiło serca gwardzistów. W nocy z 9 na 10 kwietnia Dąbrowski wziął bataliony robotnicze z Montmartru i zaskoczył nagłym atakiem wojska wersalskie, biorąc szturmem miasteczko Asnières wraz z jego bateriami. Towarzyszyli mu: olbrzymiego wzrostu, małowzrosty dziennikarz Vermorel i brat Jarosława, Teofil Dąbrowski. Zdobyty teren szybko zorganizowano pod względem obronnym, wyzyskując tory kolejowe i improwizowany pociąg pancerny.

W batalionach Gwardii Narodowej i w dzielnicach robotniczych opowiadano sobie, jak nowy dowódca stanął z szablą w rękę na czele batalionu i wraz z gwardzistami przebiegł biegiem pod ogniem dział i kartaczownic trzysta metrów przestrzeni pomiędzy wałem miejskim a pozycjami wersalscyków. Za jednym zamachem przełamany został mit o wyższości regularnego żołnierza nad uzbrojonym cywilem-robotnikiem, wiedzącym o co się bije.

Rozpoczęły się tygodnie morderczej walki. Oczy ludu paryskiego kierowały się z nadzieją i ufnością na kilku dowódców rewolucyjnych, a wśród nich na Dąbrowskiego i Wróblewskiego. O Dąbrowskim czasopismo „Le Fils du Père Duchêne” pisało językiem ludu Paryża:

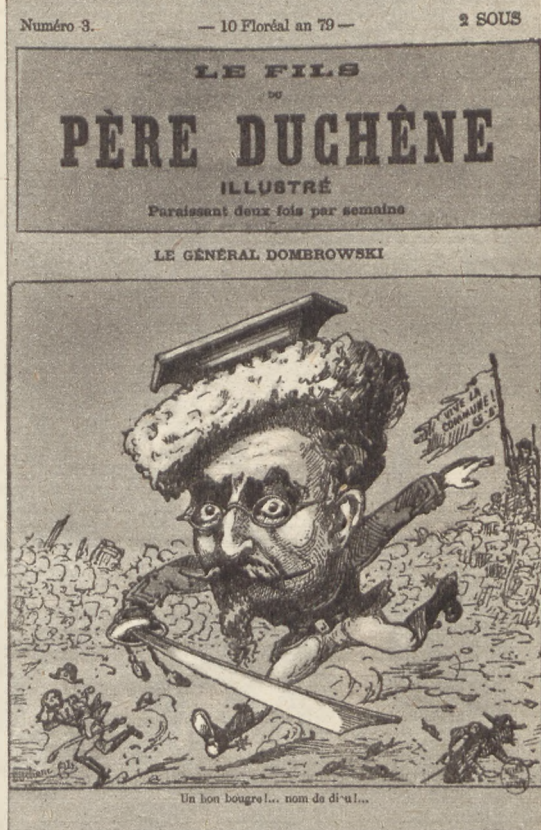
DOKOŃCZENIE NA STR. 21



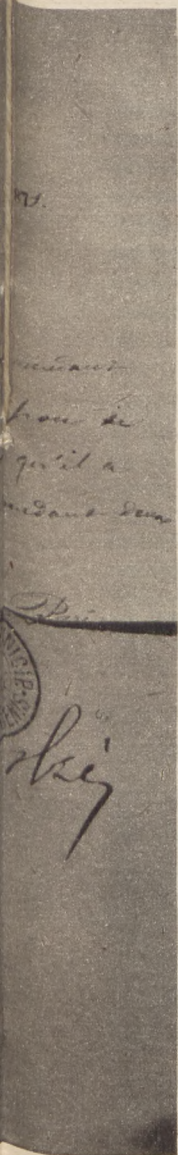
ROZKAZ GENERAŁA DĄBROWSKIEGO Z JEGO



BARYKADA W ŚRODMIEŚCIU PARYŻA



Kartka tytułowa czasopisma. „Le fils du Père Duchêne” z karykaturki Dąbrowskiego.



AUTOGRAFE.



OSTATNIA DROGA Z PRZEDMIEŚCIA NA RATUSZ.



W CZASIE OBRAD ŚWIATOWEJ RADY POKOJU WIELOTYSIĘCZNE TŁUMY MIESZKAŃCÓW WIEDNIA MANIFESTOWAŁY WOŁĘ WALKI O POKÓJ

AUSTRIA NIE CHCE BYĆ „TWIERDZĄ ALPEJSKĄ”

EDDA WERFEL

Korespondencja własna „Świata”

WIEDEŃSKI Kursalon, gdzie w pierwszych dniach listopada obradowała Światowa Rada Pokoju, mieści się w Parku Miejskim. Można wejść do Kursalonu od ulicy — przy tych wejściach stali wówczas policjanci i legitymowali wchodzących — a poza tym można wejść doń z parku. Ale podczas obrad Kursalon był od parku oddzielony: władze austriackie ustawiły wokół tego budynku regularne barykady z przewróconych ławek i drutu kolczastego. Gdy któraś mama z wózkiem chciała wejść do parku od strony Kursalonu, policjant ją uprzejmie, ale stanowczo odpędzał.

A po drugiej stronie tych barykad bawiły się, zwyczajnie, dzieci. Gdyby któraś już nieco doroslejsze Hanschen czy Gretchen zapytała mamy czy niani, coż to za groźni zbójce zebrali się tam za barykadami, i gdyby mama lub niania odpowiedziały, że to przyjechali ludzie z całego świata, by radzić, jak uchronić wszystkie Hanschen i Gretchen od strachu wojny — dzieci pomyślałyby sobie, że pewnie są

jeszcze za małe, by rozumieć wszystko, co robią dorośli ludzie.

Dorostych ludzi natomiast — jako że lud wiedeński jest znacznie liczniejszy od tych, którzy kazali ustawić barykady w wiedeńskim parku — nie udało się od Rady Pokoju oddzielić.

NIE POMOGŁY OSZCZERSTWA

W Wiedniu wychodzą trzy dzienniki postępowe oraz o wiele więcej dzienników reakcyjnych. W tych ostatnich, ani przed sesją Rady Pokoju, ani podczas jej trwania, na próżno szukałbyś jednego słowa o obradach. Było to śmieszne widowisko: ta barykada milczenia wrogów pokoju dokoła Rady. Wiedeń gościł tym razem w swych murach tylu wielkich uczonych i pisarzy na raz, jak jeszcze nigdy, a mimo to prasa burżuazyjna nabrała wody do ust.

Pokazano mi pewien ciekawy dokument — list wiedeńskiego magistratu (Gemeinde Wien) do Austriackiej Rady Pokoju, tej treści:

„Pozwalamy sobie zakomunikować, że zgodnie z pismem dyrekcji policji Wiednia z 16.7.1951 dotyczącym nakazu amerykańskich władz okupacyjnych musimy zakazać rozpowszechniania plakatów pokojowych w strefie amerykańskiej, tj. w obwodzie VII, VIII, IX, XVIII, XIX.

Z poważaniem
Gemeinde Wien... itd.”

Jasne, że z atlantycką zgodnością, takie same zarządzenia wydały władze okupacyjne brytyjskie i francuskie. A że strefy okupantów zachodnich łącznie zajmują oczywiście nieporównanie więcej obszaru, niż strefa radziecka, ten oficjalny bojkot Rady Pokoju obejmował prawie cały Wiedeń. Aż do pew-

nego dnia — do dnia, w którym miał się odbyć pochód pokoju. W tym dniu okazało się, że nie wystarczą barykady, ani plugawe oszczerstwa, jakimi reakcja obdarza hojnie ruch pokoju. Lud wiedeński wyszedł na ulicę, by w potężnej manifestacji pokazać swą wolę obrony pokoju, by protestować przeciw marshallizacji Austrii, przeciw przekształceniu jej w arsenał zbrojeniowy, służący m. in. remilitaryzacji Niemiec.

BAZY ZAMIAST MIESZKAŃ

Bo mała, pokojowa Austria przekształca się szybko w taki arsenał. „Twierdzą alpejską” nazwali ją amerykańscy okupanci i posłuszny im rząd austriacki, a wiedeńczycy, którzy Alpy uważali dotąd za cel pięknych wycieczek i miejsce uzdrowisk, nie chcą się pogodzić z ich nową rolą. „Alpenfestung” staje się jednak z każdym dniem coraz bardziej rzeczywistością: buduje się szosy strategiczne, koszary i lotniska, brutalnie wysiedla się z Tyrolu całe wsie, by Amerykanie mogli tam urządzać swoje bazy woj-



Bagnetów i kolb użyły amerykańskie władze okupacyjne w Austrii, by nie dopuścić przejeżdżającej przez Innsbruck młodzieży angielskiej i francuskiej, na Światowy Zlot Młodzieży w Berlinie.



W stalowych hełmach, na amerykańskich „dżipach” pędzą ulicami Wiednia oddziały austriackiej policji, przypominające czarne kohorty Himmlera, równie brutalne w sposobie odnoszenia się do robotników.

skłowe. Salzburg staje się oficjalnie „Militärstadt“, nawet w samym Wiedniu powstały 3 wielkie lotniska wojskowe, odbudowuje się koszary itd. Co o tym myśli lud wiedeński, udowodnił: w Semmeringu, na peryferiach Wiednia, Amerykanie ukończyli po kilku miesiącach pomiary i prace przygotowawcze do nowego lotniska. Jedna noc wystarczyła by zniszczyć wyniki ich kilkumiesięcznej pracy — wyrwano z ziemi pale, usunięto wszystkie znaki pomiarowe, zrównano z ziemią prowizoryczne zabudowania.

Ale szosy strategiczne, bazy i lotniska — to nie wszystko. Zgodnie z planami zachodnich okupantów, przemysł austriacki rozbudowywany jest wyłącznie po to, aby zasilac zbrojenia zachodnich Niemiec i armii Eisenhowera.

Kilka przykładów: Austria była przed wojną całkowicie zelektryfikowana i zasób energii elektrycznej wystarczał jej na wszystkie potrzeby. Obecnie przemysł konsumpcyjny cierpi z powodu braku prądu w miastach (również w Wiedniu światło jest wyłączone na kilka godzin dziennie). Natomiast 25% prądu dostarcza się do Niemiec zachodnich.

„New York Times“ pisał o otwarciu nowej walcowni w hucie Donawitz, oraz o zakładach Przemysłu Stalowego w Linzu (nazywanych przez „New York Times“ ciągle jeszcze — „Herman Goering Werke“), że trzeba podnieść ich wydajność, bo odgrywają one poważną rolę w zbrojeniach... Niemiec zachodnich. Temu samemu celowi służy wzmożona eksploatacja kopalń rudy żelaznej itd. itp. Oczywiście, takich przykładów można by podać dziesiątki.

CENY ROSNĄ Z DNIA NA DZIEŃ

Austria, która zawsze miała przemysł przetworczy postawiony na wysokim poziomie, staje się pod względem gospodarczym krajem typu kolonialnego: eksploatuje coraz więcej surowców, podczas gdy jej własny przemysł walczy z olbrzymimi trudnościami, a w niektórych gałęziach wręcz zamiera.

Fabryki odczuwają brak prądu, brak surowców, nawet surowców produkowanych w kraju — w ub. roku przemysł miał o 44 tys. ton stali za mało, choć Austria produkuje obecnie znacznie więcej stali, niż przed wojną. Zamyka się więc fabryki — nie te, które produkują płyty pancerne dla Guderiana, lecz te, które produkują towary dla Austriaków. Zamyka się fabryki, zamyka się sklepy również dlatego, że kurczy się gwałtownie rynek wewnętrzny, a ludność ubożeje coraz bardziej.

Wystarczy przejść się ulicami Wiednia, by to zauważyć. Ceny rosną z dnia na dzień. „Nie mam właściwie nic do roboty — opowiada sprzedawczyni w sklepie galanteryjnym. — Jeśli ludzie już coś kupują, to od razu po pierwszym, bo między pierwszym a ostatnim dniem miesiąca jest wielka różnica w cenie. Zostanę chyba zredukowana. Ach, sprzedawczynie na Graben, na Kärntnerstrasse, te mają dobrze, tam kupują cudzoziemcy“.

Tak, tam kupują cudzoziemcy. Pełno jest w sklepach, w eleganckich lokalach śródmieścia, w teatrach i na Grinzingu. Cudzoziemcy — to nie tylko amerykańscy oficerowie i ich girls, lecz również dziesiątki tysięcy spekulantów, tak zwanych „uchodźców“.

Austriacy żyją tak marnie, jak jeszcze nigdy. Płace są niskie, ceny wysokie, brak jest tłuszczu, mleka, mięsa, podatki wzrosły w ciągu pięciu lat 15-krotnie, a komorne ostatnio do 300%. Zbrojenia dla Niemiec, bazy wojskowe i lotniska w Austrii, inflacja i bieda, a nadzieje? Propaganda burżuazyjna bardzo się „zamerykanizowała“, słowa „wojna, bomba atomowa, zbrojenia“ krzyczą ze szpałt dzienników. Nic dziwnego, że nastroje wiedeńczyków są ponure. Pragną zmiany. Jakiej?

HITLEROWSKIE PROWOKACJE

Polityka zachodnich okupantów i rządu austriackiego, który łącznie z prawicowymi socjalistami robi wszystko, co się zachodnim okupantom podoba — zmierza wyraźnie do tego, by niezadowolone ludności skierować w łóżysko faszystowskiego, hitlerowskiego ruchu. Mimo to ruch ten jest dość mizerny. Za to nadrabia tupetem i prowokacjami. Jakkolwiek by władze austriackie starały się popierać ten ruch nie udało się ani VdU (Verband der Unabhängigen, nazwa partii hitlerowskiej) ani różnym innym faszystowskim grupkom, jak „Junge Front“ czy „Nationale Liga“ przeniknąć na teren robotniczy. Natomiast hitlerowcy posiadają pewne wpływy w części mieszczaństwa, wśród chłopów.

Na razie VdU i pokrewne grupy „ograniczają się“ do prowokacji, zamachów bombowych na lokale de-

mokratyczne, oraz do jawnie faszystowskiej propagandy. Wychwalają Hitlera, żądają ułaskawienia zbrodniarzy wojennych, wołają o „Anschluss“ do zachodnich Niemiec. Im bardziej rozzuchwała się po tamtej stronie granicy pan Adenauer i jego generałowie, tym bardziej rośnie nasilenie hitlerowskiej propagandy również i w Austrii.

A teraz mały przykład tej propagandy:

„DIE FAHNE HOCH“

Latem tego roku dziennik „Echo der Heimat“ opublikował artykuł pt.: „Legioniści atakują śpiewając Horst - Wessellied. — Jednostki SS i Hitlerjugend walczą w Indochinach przeciw bolszewizmowi“, w którym można przeczytać wdzięczne zdania:

„Jestem w oddziale składającym się w 80% z Niemców. Byłem w SS, byłem tam całym sercem... Często polujemy i mamy nową broń amerykańską — broń jest dobra. Byłem wśród tych, którzy przeszli słynny marsz przez Saigon. Przemaszzerowaliśmy w zwartej formacji i nagle wybuchł śpiew: „Die Fahne hoch, die Reihen fest geschlossen...“ Tu musimy strzelać do czerwonych, a szeregi także musimy zwierać... Chcieli z nas przemocą wypędzić ducha hitlerowskiego i jak to się skończyło?“

Nie trzeba chyba dodawać, że „demokratyczna“ prasa austriacka, która nie pisała nic o obradach Rady Pokoju, nie protestuje przeciwko takim wystąpieniom.

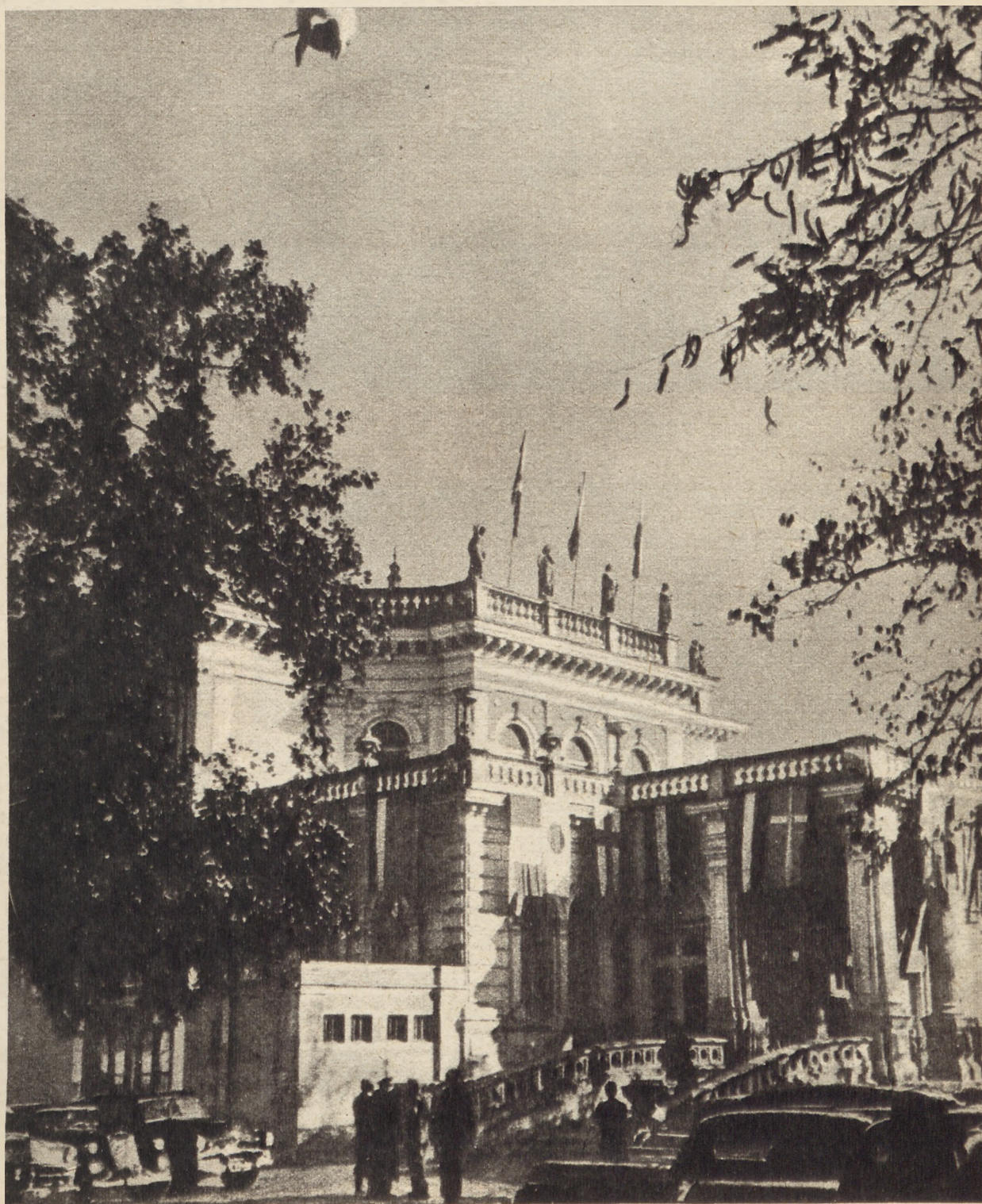
Ale lud wiedeński, setki tysięcy robotników wiedeńskich, swoich nadziei nie łączy ani z amerykańskimi lotniskami, ani z hitlerowskim „duchem“. Robotnicy wiedeńscy mimo zdradzieckiej polityki socjaldemokracji, coraz solidarniej walczą o jedność robotniczą, o zaprzestanie zbrojeń, o samodzielną, pokojową Austrię. Wykazała to fala zwycięskich

strajków, przeprowadzona w bieżącym roku. Wykazały to odbyte w październiku i listopadzie br. wybory do Rad Zakładowych, gdzie mimo terroru amerykańskiego, lista jedności robotniczej (komuniści i lewicowi socjaliści) odniosła poważne zwycięstwa. Wykazał to wreszcie piękny, imponujący marsz pokoju wiedeńskiego ludu, który zmanifestował, że „Austria nie chce być twierdzą alpejską“, jak głosiły transparenty i jak wołały dziesiątki tysięcy ludzi.

Niedzielne popołudnie i wieczór spędzamy na zwiedzaniu Wiednia. Jarzą się tysiącami neonów wystawy śródmieścia. Ciemne, brudne, nieodbudowane, zaniedbane są rozległe dzielnice robotnicze. Na wystawie reprezentacyjnej księgarni — trzy tytuły: „Hitlers letzte Tage“, „Joseph Goebbels“, i Johna Fostera Dulles'a: „Krieg oder Frieden“. Oto co powróciło na fali „amerykańskiego stylu życia“. Po salach Schönbrunn, przewodnik, który ciągle jeszcze staje na baczność, gdy wymawia imię Franciszka Józefa, oprowadza parę tłustych Amerykanów. Ona ma znudzoną minę, on pewnie w duchu oblicza, ile to wszystko kosztuje. Wąskie uliczki Grinzingu są przepełnione wspaniałymi amerykańskimi limuzynami, a w knajpce orkiestra gra na przemian „Wien nur du allein“ i boogie - woogie.

Szofer, który nas tu zawiózł, mówi: „Pokażę pani coś“. Jedzie dalej, staje przed małym domkiem i powiada: „Tu mieszkał Beethoven i tu napisał Appassionatę“. Potem, w drodze powrotnej do śródmieścia mówi, że nałożymy trochę drogi, bo on chce nam pokazać Karl Marx - Hof. Pokazuje nam i Karl Marx - Hof i miejsce, z którego „oni“ wówczas, w 1934 r. strzelali. A potem pyta, czy widziałam wczoraj „naszą“ manifestację.

I właśnie on, ten szofer, i setki tysięcy takich, jak on — to jest prawdziwy Wiedeń, a nie „oni“, bez względu na to, jakie noszą mundury...



W gmachu Kursalon, udekorowanym flagami wszystkich uczestniczących krajów i błękitną flagą

pokoju, obradowała Światowa Rada Pokoju. Nad gmachem unosił się wielki balon na uwięzi.

CIEŃ BOMBOWCA NAD PUSTYNIĄ



PRZYJEZDZAJĄ na pozór w różnych sprawach. Jedni, ci w cywilu, interesują się rudami cynku i ołowiu, złożami nafty i fosforytów, molibdenem i berylem. Wykupują akcje firm francuskich i angielskich, wymuszają koncesje, monopolizują w swych rękach handel.

Drudzy, ci w mundurach, zakładają bazy lotnicze i morskie, sprowadzają swoich żołnierzy, ćwiczą francuskich. Zwożą broń, samoloty, budują drogi strategiczne, instalują aparaty radarowe.

Amerykańscy generałowie, zagarniający coraz nowe punkty Maroka dla baz wojskowych, wypełniają polecenia amerykańskiego ministra „obrony“, Lovetta. Zaś „Generalna Kompania Maroka“, wysysająca jak ośmiornica bogactwa tego kraju, jest w przeważnej części opanowana przez amerykański „National Bank of Commerce“ którego współwłaścicielem jest... tenże minister Lovett.

Macki imperializmu amerykańskiego, oplatające coraz mocniej Maroko, należą do tego samego żarłocznego cielska.

Przed blisko trzydziestu laty francuski generał Lyautey przechwalał się, że „wszystko w Maroku, co przedstawia jakąkolwiek wartość, jest kontrolowane przez Francuzów.“ Kapitał francuski niechętnie odejmował od ust łakomy marokański kąsek, próbował walczyć z rosnącymi wpływami amerykańskich monopolii. Niedługo jednak. Sprawę przesądziło rozciągnięcie „planu Marshalla.“

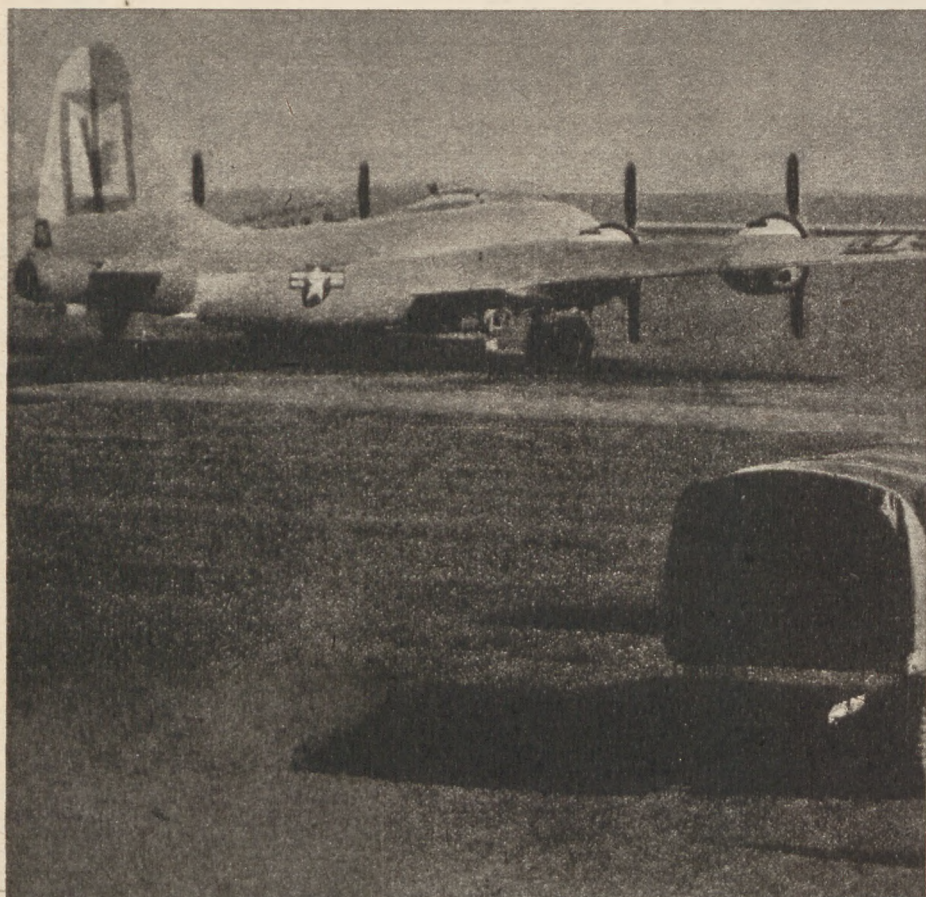
Znacznie łatwiej poszło Amerykanom wojskowe opanowanie Maroka. Tu władze francuskie wystąpiły od razu w charakterze posłusznego odzwierne-go. Dużą część miasta Rabat przekazały one Amerykanom na sztab wojsk lotniczych. Agenci francuscy rekrutują robotników do pracy przy budowie baz lotniczych w Sidi-Sliman, Nouasseur, Ben-Guerir i innych. Port Lyautey został niemal w całości przekazany VI Flocie Stanów. Ba, były rezydent francuski w Maroku, gen. Juin, specjalnym zarządzeniem zabronił przedstawicielom organizacji społecznych wstępu na teren tego portu...

Amerykańskiej okupacji Maroka towarzyszy rosnący wyzysk mas. Ceny są 26-krotnie wyższe, niż przed wojną, a według nawet oficjalnych danych francuskich, co czwarty Marokańczyk choruje z niedojadania. Marokański działacz polityczny, Allal el-Fessi, ogłosił ciekawe cyfry: na 130 tys. mieszkańców kraju przypada 1 lekarz i... 217 policjantów.

Naród marokański ma za sobą tradycję 60 lat walk przeciwko zaborcom. I nie pozostaje bierny dzisiaj. „Wiosna ludów kolonialnych“, zapoczątkowana zwycięstwem narodu chińskiego, dotarła poprzez Vietnam i Burmę, Iran i Egipt — do Maroka, do wybrzeży Atlantyku.

W walce przeciw podwójnemu uciskowi imperializmu amerykańskiego i francuskiego następuje zjednoczenie wszystkich demokratycznych i patriotycznych sił Maroka. Do frontu narodowego, obok partii postępowych, weszła także burżuazyjno-narodowa partia „Istiglal“. Jednym z niedawnych sukcesów tego frontu było zbojkotowanie „policyjnych wyborów“, zorganizowanych przez francuskiego rezydenta gen. Guillaume.

Naród marokański wysuwa słuszne żądania: zniesienia protektoratu francuskiego, zjednoczenia terytorium narodowego, wolnych, nieskrępowanych wyborów. I żądań tych będzie bronił do zwycięstwa.



„Latająca twierdza“ wylądowała na piaskach Maroka... Czy to rok 1942? Nie, rzecz dzieje się w roku 1951, a nasze zdjęcie przedstawia fragment amerykańskiej bazy lotniczej Sidi-Sliman, jednej z bardzo wielu w Maroku...



„I wtedy Rommel tak, tak i tak...“ Amerykański generał Richards, który brał udział w manewrach wojsk francuskich w Afryce Północnej, szkolił swych francuskich kolegów po agresji, na najlepszych hitlerowskich wzorach.

NA ESTRADZIE FINAŁU



ODZNACZONA NAGRODĄ PAŃSTWOWĄ OPERA „BUNT ZAKÓW”, ZOSTAŁA STARANNIE I ŁADNIE WYSTAWIONA PRZEZ OPERĘ WROCŁAWSKĄ.



Opera Warszawska dała na Festiwal „Pana Twardowskiego” z Kilińskim w roli diabła.

ROK 1851

TĘSKNIE za dobrą muzyką i za inteligentną rozmową. Tużaj niestety rozmowa ogranicza się do złośliwych miejscowych plotek, nikt nie czyta, a muzyki unika większość. Przedwczoraj dałam się namówić na wieczór u hrabiny Konstancji. Zgadnij, czym się tam zabawiano? Gra w „czarnego Piotrusia”! W Warszawie widuje się tylko stare babska, zajęte wydawaniem za mąż córek i młode głupie gęsi zajęte wyłącznie polowaniem na męża spośród bandy młodych durniów, akurat tyle bogatych, ile ograniczonych.

Kto to pisał? — Sławna Maria Kalergis, uczennica Chopina, wielbicielka i protektorka Moniuszki, jedna z bardziej inteligentnych i muzycznych kobiet zeszłego wieku.

ROK 1951

Gdyby pani Kalergis wstała ze swego eleganckiego grobu na Powązkach i przejechała się dziś już nie powozem konnym, ale tramwajem po Warszawie, byłaby zdumiona. Nie tym tramwajem, lecz afiszami na murach miasta: muzyka, muzyka, muzyka!... — Dziś koncert symfoniczny i konkurs śpiewaczy, jutro przedstawienie w Operze i dwa koncerty kameralne, pojutrze recital fortepianowy i występy chórów. A wszystkie te afisze opatrzone są wzmianką informacyjną: „W ramach Festiwalu Muzyki Polskiej”.

IMPREZA BEZ PRECEDENSU

Co to jest Festiwal Muzyki Polskiej, o tym wiedzą prawie wszyscy. Ale są i tacy, którym — jak się mawia popularnie — „słoń nadepnął na ucho”, czyli niemuzycalni, a tym samym mało interesujący się życiem muzycznym. Im to, żeby się nie musieli wstydić, przypomnę nieco danych o Festiwalu.

Osiem miesięcy temu, dokładnie 13 kwietnia b. r. otwarta została uroczystość w Warszawie impreza bez precedensu w historii kultury polskiej, mająca na celu rozmuzykowanie dosłownie całego kraju, zbliżenie do muzyki najszerszych rzesz ludności pracującej, zachęcenie do twórczości kompozytorów żyjących i przekazanie twórczości kompozytorów dawnych, aż po same początki polskiej kultury mu-

zycznej. Impreza ta nazwana została — Festiwal Muzyki Polskiej.

TRZY ETAPY

Podzielono ją na 3 etapy. W pierwszym, trwającym od 13.IV. do 1.V. b. r. główny nacisk położono na uroczyste koncerty i przedstawienia operowe w różnych miastach.

Drugi etap, najważniejszy, jeśli chodzi o rozwój kultury muzycznej w Polsce, rozgrywał się na szerokim terenie i trwał od 1. V. aż do 30. XI. b. r.

W tym czasie Centralna Rada Związków Zawodowych wciągnęła do współzawodnictwa muzycznego 3000 zespołów amatorskich Związków Zawodowych. Zostały zorganizowane eliminacje na szczeblu powiatowym, okręgowym i wreszcie — przed kilkoma dniami — na szczeblu centralnym, w Warszawie. Najlepsze, wyróżnione zespoły amatorskie wystąpią obok naszych najlepszych orkiestr symfonicznych, na honorowej estradzie Finału.

Do podobnego współzawodnictwa i eliminacji wciągnął Związek Samopomocy Chłopskiej swoje 2000 wiejskich zespołów chóralnych, kapelowych i tanecznych. Najlepsze spośród nich znajdują się również na estradzie Finału.

Równocześnie ZMP rozpiął konkurs śpiewu masowego wśród wszystkich swoich kół. Co to znaczy wszystkich? — To znaczy, że n. p. w jednym tylko województwie rzeszowskim przystąpiło do tego konkursu ponad 500 kół terenowych ZMP!

Nie próżnowało i Zjednoczenie Polskich Związków Śpiewaczy i Muzycznych, które wzięło swymi zespołami udział w około 16000 koncertów, akademii i innych uroczystości.

Polskie Radio dało cykl audycji p. t. „Historia muzyki polskiej”, z których społeczeństwo dowiedziało się, że muzyka nasza wcale nie zaczyna się na Chopinie i Moniuszce, ale miała wybitnych, światowej sławy przedstawicieli już w XVI wieku.

Wydawnictwa muzyczne wydały w tym czasie kilkakrotnie utworów, przede wszystkim z dziedziny pieśni i muzyki masowej. Kompozytorzy polscy stworzyli szereg nowych, wartościowych dzieł, z których trzy zyskały Nagrodę Państwową, a mianowicie: „Symfonia Pokoju” A. Panufnika, Symfonia C-dur T. Bairda i opera „Bunt zaków” T. Szeli-gowskiego (muzyka) i R. Brandstaettera (libretto). Równocześnie zorganizowano Ogólnopolski Konkurs Śpiewaczy dla Pieśniarzy... — czyż zresztą wyliczyć zdołam wszystko to, co złożyło się na ogrom i znaczenie kulturalne Festiwalu Muzyki Polskiej?!

WSPANIAŁA KOŃCÓWKA

Z chwilą kiedy ten numer „Świata” wyjdzie spod prasy, rozpocznie się III finałowy etap Festiwalu. Na estradach Warszawy odbędzie się skrzętny, gospodarski obrachunek pracy z ubiegłych 8 miesięcy. Rachmistrzami będą czołowe zespoły muzyczne, czołowi solisci i dyrygenci. Udział w obrachunku powinno wziąć całe społeczeństwo, bowiem chodzi o rzecz arcyważną.

Tak jak pisała pani Kalergis, działo się z kulturą muzyczną w Polsce nie tylko za jej czasów, ale i później, aż po rok 1939. Muzyką zajmowała się nieliczna garstka inteligencji i lud, przechowujący starannie — mimo nędzy i poniżenia — skarby rodzimego folkloru muzycznego. Sfery decydujące o losach kraju załatwiały wszystkie problemy muzyczne sloganem: „Przecież mamy Chopina!”

Dziś — poprzez Festiwal Muzyki Polskiej — toczy się walka, która trwać będzie nadal, aż do pełnego muzycznego zwycięstwa. Walka o to, żeby Polska stała się godna Chopina.

JERZY WALDORFF

W festiwalowych konkurencjach brała udział także młodzież. U dołu: chór chłopięcy z Wrocławia.



Wśród 2000 zespołów wiejskich występował w Festiwalu ten tercet dziewczęcy ze wsi Koszęcin.

UCZTA BALTAZARA

P O W I E Ś Ć

Ilustracje: IRENA KUCZBORSKA

— A czemuż to ona sama — powiedział drwiąco — nie wykorzystała swoich znajomości? Nie mówiąc już o tym, że mogła podać się za Niemkę, jeśli ten sposób tak jej odpowiadał. Lewartowie też są z pochodzenia Niemcami.

— Nie chciała się angażować — odparł Kienzel. — Ani angażować, ani podać za Niemkę. Lewartowie, to przecież ludzie z najlepszego towarzystwa.

Trudno było Uriaszewiczowi słuchać tych wywodów. Zwłaszcza z ust Kienzla. Dźwięczały w nich obco. Jak wyuczone. Wykonał ręką ruch pełen zniecierpliwienia.

— Tyś młody, niewyrozumiały — posmutniał Kienzel. — Ale ani twój stryj Konrad nie myśli o mnie źle, ani Rokiciński. Nigdy z sobą nie byliśmy blisko, kiedy jednak wojska sowieckie się zbliżały i moja sytuacja mogła być trudna, Rokiciński zajął się mną.

— Wiem, mówił mi.

— Mówił z tobą o mnie? — zaniepokoił się Kienzel.

— Jemu zawdzięczam, że pana w końcu znalazłem.

Kienzel zbiegał jak ściana.

— Jakto jemu? Przecież on nie wie, gdzie jestem. Tylko jeden pan Konrad! — Stryj Konrad? — osłupiał Uriaszewicz. — Właśnie stryj Konrad przysięgał mi, że pan nie żyje!

— A to nie on cię do mnie skierował?

— Gdzie mnie miał skierować, skoro kłamał, że pan zginął? — Andrzej roześmiał się gorzko — Na cmentarz?

Patrzyli na siebie przez chwilę oniemiałymi z wrażenia.

Uriaszewicz nie pojmował stryja, Kienzel o nim nie myślał. Zdjęty trwogą, że jednak można do niego trafić, nie odzywał się, ciężko dysząc.

Droga, przez którą z trudem przebiegał Uriaszewicz, by go odszukać, wydała mu się łatwym do przebiecia szlakiem. A tych kilku ludzi, których pomoc utorowała Andrzejowi drogę, więc Rokiciński, Nacewicz, proboszcz Spos, ksiądz wikary, prałat Zawczyński — całym tłumem.

— Boże! — dotknął czoła kościstymi, chudymi, długimi palcami. — Toż już koniec!

Nagle podniósł głowę i nasrożył się:

— To ty mnie teraz okłamujesz! Od Konrada wiesz!

— Gdybym od niego wiedział — odrzekł Uriaszewicz, podnosząc głos — chyba nie potrzebowałbym trawić na poszukiwanie całych miesięcy i wciągać do sprawy obcych ludzi!

— Ach, prawda — wyszeptał Kienzel zupełnie już złamany, zgaszony. — Wspomniałeś przecie od razu, żeś mnie tak długo szukał, chciałem nawet o to zapytać, ale rozmowa nasza była taka prędką, bezładną. Zresztą w pierwszym momencie to mnie wcale nie zaniepokoiło. Taki pewny byłem, że zna mój adres tylko twój stryj. Teraz wszystko rozumiem!

— Mego stryja?

— Ależ nie! — Kienzel nie obchodziły przyczyny, dla których Konrad Uriaszewicz w ten sposób postąpił i jakie mogło być jego wyrachowanie. Zajączał: — Jestem zagrożony!

Zachwiał się na nogach. Strach raz po raz ścisnął jego serce, wprawiał w nieustanne drganie jego powieki. Przyspieszony oddech osuszał mu język i wargi.

— Bardzo rzadko wychodzę z domu, pilnuję się, żyję na odludziu, uważam na każdy krok — zaczął biadać. — Do Mostnik chodzę tylko na pocztę, gdy jest przekaz od pana Konrada. Na kawę wtedy nawet nie zajdę, a jeżeli już, to co najwyżej napić się czegoś na dworcu, gdzie nikt się mną nie interesuje, myśląc, że jestem przejazdem. I mimo wszystko! Mimo tylu ostrożności!

— Przekaz od Konrada? — powtórzył za Kienzlem Andrzej, myśląc, że się przesłyszał.

— Ano z czegoś muszę mieć pieniądze — odparł Kienzel. — Zostawiłem mu trochę swojego złota, jak mi potrzeba, sprzedaję przez niego. Tu bym się bał. Ciekawości ludzkich lub jakiego napadu.

— Niemożliwe! — szepnął Uriaszewicz.

— Czasem się źle obrachuję i zanim mi nadeślą, zostaną bez grosza, w takich wypadkach sprzedaję na miejscu jakiś drobiazg, ot jak teraz — ciągnął Kienzel. — Ale zasadniczo wszystko załatwia mi pan Konrad.

— Zatem jest pan z nim w stałym kontakcie.

— Ale tylko z nim! Tylko z nim! I to od samego początku, jak tu się zakopałem. Tylko przez niego również starałem się zaalarmować państwa Lewartów w sprawie „Ucztę“.

— Również! — pokręcił głową Uriaszewicz.

O alarmowaniu Kienzel już wspominał. Lecz nie mówił, że przez Konrada Uriaszewicza. Teraz uzupełnił swoją relację. Obraz wzajemnych stosunków Konrada Uriaszewicza i Kienzla zarysowywał się coraz wyraźniej. Tylko, że kłamstwo Konrada nie stawało się przez to ani trochę bardziej zrozumiałe. Andrzej, pełen niechęci i skrupowania, wpatrywał się niemo w olbrzymiego, zawsze przypominającego tyczkę, a obecnie przygarbionego Kienzla. Błady z półprzytomnym wyrazem twarzy, z oczami wysadzonymi na wierzch, z obwisłą dolną wargą, ogłupiały, bezradny, wydawał się wcieleniem nieszczęścia. Kiedy chciał ruszyć w stronę domu, nogi odmówiły mu posłuszeństwa, musiał więc wesprzeć się na Andrzeju. Powlókł się na koniec przed siebie. Sterany, niedołężny, tym razem

już bez żadnej maskarady. Aż nagle nowa fala strachu o własną skórę do-dała mu sił.

— Musisz zabrać stąd „Ucztę“. Ale zaraz! — krzyczał. — Jak przyjdą tu, trafią do niej, będą mieli jeszcze jeden dowód więcej, że Kienzel! Dostyc się już o nią nakłopotalem. Zabieraj ją stąd co prędzej, nim mnie zgubi!

Niczego nie mógł Kienzel zmienić w swoim położeniu. Tylko to jedno. Dla tego z takim uporem domagał się spełnienia wysuniętego żądania.

— Jak najprędzej! Jak najprędzej! — napierał. — Leży u mnie w piwnicy, zasypiana gruzem. Łatwo będzie ją wydobyć!

— Dobrze — rzekł Andrzej.

— Ale kiedy? Kiedy?

— Muszę wpaść do Warszawy. Zorganizować coś.

— Nie, nie! Natychmiast!

Jeszcze kilka takich krótkich spieć, bezładnych, błyskawicznych. Chaotycznych zaklęć ze strony Kienzla i wysiłków ze strony Uriaszewicza, żeby go utrzymać w granicach zdrowego rozsądku. W pewnym momencie tej szybkiej wymiany zdań wyszło na jaw, że gospodarze Kienzla nie znają rzeczywistej przyczyny, dla której zmienił nazwisko.

— A czy wiedzą coś o „Uczie“? — spytał Uriaszewicz.

— Myślą że to w tej puszczy jest archiwum.

— Jakie archiwum?

— Jakieś organizacyjne. Polityczne.

— A w takim razie pan, ich zdaniem, kim jest?

Oczy Kienzla znowu stanęły w słup.

— Gdyby przyszła milicja i te różne sprzeczności wyszłyby na jaw — wyjąkał — w pierwszej chwili mogą stracić głowę.

Trzęsącym głosem lamentował:

— I powiedzą, że Kienzel. Stwierdzą, że mnie znają sprzed wojny. Jak przy rewizji zobaczą, że w puszczy, którą razem z mną chowali, nie ma żadnych dokumentów, tylko obraz, mogą się przestraszyć, mogą mnie wydać.

Dla Uriaszewicza stawało się rzeczą coraz jaśniejszą, że jeśli Kienzla ogarnie podobny paroksyzm strachu, gotów wynieść „Ucztę“ z domu, rzucić gdzie na szosę, albo donieść do jakiejś rzeki, puścić z wodą.

— Panie dyrektorze, jutro jadę do Warszawy — rzekł. — Dwa, trzy dni cierpliwości. Zabiorę od pana „Ucztę“.

* * *

Do Jeżowej Woli Uriaszewicz powrócił przed samą kolacją. Zmęczony, wyczerpany długim marszem, oraz szarpiącymi nerwy rozmowami z Kienzlem i z wikarym. Kiedy zbliżał się do szkoły, owiał go zapach wygrzanego upalnym dniem parku i ogrodu. Drogę od bramy do kancelarii przebył nie zatrzymując się. Najchętniej poszedłby wprost do

siebie, żeby bez gadania, bez mycia położyć się jak najprędzej i zasnąć. Musiał się jednak rozmówić z dyrektorem. Otworzył drzwi do kancelarii. Huczał w niej gwar rozmów. Śmierć Kuszla, strzelanina nocna, próba wdarcia się do fabryki, nie schodziła ludziom z ust. Każdy już tu wiedział o ucieczce księdza Sposa, o tym, że dzień napadu na fabrykę zbiegł się z dniem odpustu bynajmniej nie przypadkowo, lecz zgodnie z ułożonym z góry planem. Potwierdzały to różne okoliczności, teraz dopiero wychodzące na jaw. Niejasne domysły, przypuszczenia, obawy tego czy owego człowieka z okolicy, nagle nabrały rumieńców życia, rumieńców strasznych, krwawych. Uriaszewicz przysiadł na parapecie okiennym. Ozwał się gong. Większość nauczycieli jadła razem z uczniami. Kancelaria więc opustoszała. Wtenczas Andrzej, zatrzymując w progu dyrektora Tomczyńskiego, który siedł do siebie, poprosił o kilkudniowy urlop.

— Akademia pojutrze! — zgorszył się Tomczyński. — Nie będzie pan na akademii?

— Niestety!

— Cóż pana tak nagle przypiliło?

— Muszę jechać!

— Siłą pana nie będę zatrzymywał. Trudno.

— Dziękuję bardzo — ukłonił się Uriaszewicz. — W takim razie dobranoc.

Pożegnali się. Raptem dyrektor jeszcze sobie przypomniał:

— Ale, ale, gdzie to się pan przez cały dzień podziewał?

— Ot, tak sobie chodziłem.

Powiedziawszy to, Uriaszewicz podniósł na Tomczyńskiego oczy, zaczerwienione od ziarenek piasku, nawianych przez wiatr, przełknął ślinę i po kilku niemych sekundach, dodał:

— W swoich sprawach osobistych, nie w sprawach szkoły.

Wytrzymał na sobie pytający wzrok Tomczyńskiego. Upłynęła chwila, a wydawała mu się wiekiem. Na koniec Tomczyński rzekł:

— Jutro posyłam wózek na kolej po pana Śmieleckiego, na siódmą, pociąg do Warszawy ma pan o ósmej, przez ten czas niech pan nie zapomni zwolnić się z kursów w fabryce na te parę dni, jeżeli już pan tego nie uczynił. Dobrej nocy!

Rankiem, przed szóstą, kiedy Andrzej Uriaszewicz schodził na dół z teczką w rękę, natknął się na dyrektora Tomczyńskiego.

— Co tak wcześnie? — zagadnął zdumiony.

— Cóż, czasem trzeba wcześniej wstać.
Sporządził na багаż Andrzeja.
— Tylko tyle bierze pan ze sobą? — zapytał.
— Tylko — Andrzej podniósł teczkę w górę.
— No, miłego spędzenia czasu i niech pan pamięta zawczasu wysłać depeşe o konie.

— Będę pamiętał.
Siadł na wózek. Zaledwie jednak znalazł się za bramą, powrócił szczegóły tego dziwnego spotkania. Wzrok Tomczyńskiego skierowany na jego teczkę, pytanie o багаż, wcześniejsze wstanie, wszystko to zaniepokoiło gwałtownie Uriaszewicza. Jakiż był tego cel? Jakiż sens? Mogło istnieć tylko jedno wytłumaczenie. Dyrektor zerwał się tak rano, by sprawdzić, czy Andrzej nie wyjeżdża z wszystkimi rzeczami, czy zatem nie ucieka... Uriaszewicz zatrzęsł się na myśl, że jego zachowanie w ostatnich dniach mogło obudzić w Tomczyńskim podejrzenia. Odwrócił je od siebie, że wyjeżdżał bez rzeczy, czy tylko uśpił? I czy jedynie w dyrektorze Tomczyńskim je obudził? W pewnym momencie poczuł, że lepiej wrócić. Ze w wytworzonej sytuacji powinien być na miejscu. Ze jeszcze ją pogarsza swym wyjazdem. Ale po sekundzie wyśmiał sam siebie. Przegnał z serca wszystkie obawy i refleksje, traktując je jako urojenia. I nie wahając się dłużej, pojechał na dworzec.

ROZDZIAŁ XXI

W pociągu Andrzej Uriaszewicz niewyspany, zmęczony wrażeniami i przeżyciami ostatnich dwu dni, zapadł w drzemkę. Kiedy się budził, sięgał do kieszeni po ołówek i kartkę papieru i szkicował plan zajęcia na Warszawę. Chciał załatwić przede wszystkim sprawę „Ucztę”. To znaczy odszukać w Muzeum Narodowym Lubicza i porozumieć się z nim. W Krakowie mieszkała babka Franciszka Lewarta. Jej właśnie Uriaszewicz miał przekazać pieniądze w wypadku, gdyby zdecydował się sprzedać obraz w kraju. Tak ustalono w Paryżu. Ale takie rozwiązanie też już nie odpowiadało Uriaszewiczowi. Zamierzał skontaktować Lubicza ze staruszką z Krakowa. A sam nic więcej nie mieć z tym do czynienia.

Rzecz nie była prosta. Należało ściągnąć starą Lewartową do Warszawy albo do niej pojechać. Przedtem jednak, i to możliwie w najkrótszym czasie, przysłać obraz do Warszawy! Chory nerwowo Kienzel vel Grelowicz był niepewnym stróżem „Ucztę”. Zachodziła konieczność jak najszybszego przejęcia od niego obrazu. Dokonać tego było można tylko rozporządzając ciężarówką. Haza miał ich kilka w swoich garażach i jedną z nich pożyczylby z pewnością. Lecz jakże było go prosić, nie wtajemniczając we wszystko? A wtajemniczać go nie mógł, nie porozumiewszy się uprzednio z Rokicińskim. Tak więc Uriaszewicz miał się nad czym zastanawiać. Zwłaszcza, że nie zamierzał pozostać dłużej w Warszawie.

A przecież na kartce papieru, na którą zwracał oczy, ilekroć się obudził, nie „Uczta” widniała na pierwszym miejscu. Coś innego stawało się pilniejsze, im bliżej był Warszawy. Coś, co nawet brało górę w jego sercu nad tęsknotą do Haliny Stepczyńskiej. Odczuwał radość na myśl że ją spotyka. Lecz szczególny niepokój, rozrastał się w świadomości Andrzeja, radość tę odsuwał na plan dalszy. Od czasu do czasu przypominał mu się dyrektor Tomczyński i dzisiejsza poranna z nim rozmowa. Niepodobna było w jakiś sposób nie skojarzyć jej ze słowami wikarego ze Strumienia. Milicja od razu wpadła na trop morderców Kusza. Gdyby Tomczyński podejrzewał Uriaszewicza o udział w zabójstwie, nie pusiłby go do Warszawy. Nie o to więc Andrzej się kłopotał. Czuł jednak, że jego zachowanie w ostatnich dniach musiało wydać się dyrektorowi niejasne. A jeśli tak było w istocie, jakże ciężka stanie się współpraca z Tomczyńskim, człowiekiem z jednej bryły, człowiekiem, na którego zaufanie tak trudno było zasłużyć, a które Uriaszewicz już sobie zdobył.

Chciał je odzyskać w pełni! Prawdy jednak nie wolno mu było powiedzieć. Podobnie, jak nie miał prawa zwierzyć wszystkiego Klimontównie. Lecz jej był w stanie wyznać o wiele więcej. Mógł przypomnieć tę noc, kiedy to natknęła się w swoim pokoju na kilofy, plandekę i liny porzucone przez niego i Hazę. Nic nie stało na przeszkodzie, aby teraz wyjaśnił jej tę sprawę, mówiąc jak było, a mianowicie, że szukał pewnej rzeczy zakopanej w Warszawie. A na koniec powiązać tę noc ze swoimi poczynaniami w Jeżowej Woli, tłumaczyć, że nieoczekiwanie odnalazł w okolicy ślad, który zaprowadził go zupełnie przypadkowo do owego księdza — przestępcy. Przypadkowo i bez żadnych związków z morderstwem dokonany na Kuszu. Niewątpliwie panna Klimontówna uwierzyłaby w prawdziwość tego opowiadania. Chciał prosić ją, by napisała o tym do Tomczyńskiego.

Ale w Warszawie jej nie zastał. Była w Zamościu na ekshumacji zwłok narzeczonego, pierwszego pełnomocnika odbudowy Zamojszczyzny, zabitego dwa lata temu i złożonego na cmentarzu w wiosce, gdzie padł. Na uroczysty pogrzeb nie było wtedy czasu, lecz teraz nadeszła odpowiednia chwila. O tym wszystkim poinformowała Uriaszewicza zastępczyni Klimontówny w wojewódzkim wydziale oświaty rolniczej. Wyszedł z urzędu i skierował się w stronę Muzeum. Na placu Trzech Krzyży nagle skręcił w stronę alei Ujazdowskich. Być tak niedaleko Haliny Stepczyńskiej i nie zakomunikować jej o swoim przyjeździe, nie przywitać się z nią, wydało mu się niepodobieństwem. W szkole chwilę porozmawiał z Joanną. Znowu mówiła o matce, tym razem, że zdecydowana jest zobaczyć się z nią za wszelką cenę. Była zmieniona, podniecona... Z tego co opowiadała, Uriaszewicz rozumiał, że lęka się jakichś plotek. Jakich, nie precyzowała. Z pewnością jednak — nowych. A nawet najnowszych. Bała się, że pogłoski te utrudnią jej dostęp do matki. Bez wątpienia musiała się kimś zainteresować, i człowiek ten widać nie miał dobrej opinii. Tym jedynie można było sobie wytłumaczyć i jej obawy i wszystkie niedomówienia. Nic więcej nie wyjaśniwszy Uriaszewiczowi, przywołała Stepczyńską.

Spędzili z sobą wówczas pierwszy wieczór. Siedząc w restauracji rozmawiali przez długie godziny. Andrzej słuchał zdumiony. Mówiła z zapałem o swojej pracy, ale zapał ten wciąż na chwilę przygasał. Z reguły padało wtedy nazwisko Joanny d'Urcins Uriaszewiczówny. Powtarzała również różne jej opinie i powiedzenia. W pewnym momencie jak gdyby wyciągając z nich wniosek, rzuciła:

— Naturalnie! Wcale tego nie ukrywam, że pani Joanna to mój ideał. — Pomysleć tylko — dodała — taką karierę zrobić w wielkim świecie! Lecz ja na jej miejscu już bym nigdy nie wróciła na nasze stare śmiecie. O nie! Co to, to nie!

Chciał odpowiedzieć. Poczuł jednak, że ktoś kładzie mu rękę na ramieniu. Podniósł głowę: przy stoliku stał Rokiciński. Od ostatniej rozmowy z Uriaszewiczem, często o nim myślał. I to z niepokojem. Wyrzucał sobie że zdradził mu miejsce pobytu Kienzla. Nie znał Uriaszewicza dobrze. Nie mógł zorientować się, czy to był człowiek wystarczająco ostrożny. O sobie natomiast wiedział z całą pewnością, że wyrobił Kienzlowi fałszywe papiery. Trzeba było jeszcze tego — powiedział sobie — by ta sprawa wyszła na jaw, a już bym się nie wykreślił przed wyrokiem i więzieniem!

— No — zapytał, przywitawszy się — jak tam?
Towarzyszył Stepczyńskiej i Uriaszewiczowi przez cały czas ich spotkania. Po czym odwiózł Stepczyńską i wrócił jeszcze z Andrzejem do tej samej restauracji. Wtedy dopiero dowiedział się jak rzeczy stoją. Słuchał z największą uwagą tego co Uriaszewicz mówił, przerywając mu tylko co kilka minut stereotypowym zaklęciem.

— Pamiętaj, że dałeś słowo honoru! — powtarzał. — Przysięgłeś Kienzla nigdy na nic nie narazić, a tym samym mnie.

— Pamiętam o tym — odpowiadał Uriaszewicz.

Po wynurzeniach Andrzeja znikła powaga mecenasa, a w oczach skierowanych na niego nie pozostało nic ze zwykłej serdeczności.

— Nie możesz wracać na wieś — w pewnym momencie rzucił z siłą. — Nie wolno ci się tam pokazać!

— Nonsens! — buntował się Uriaszewicz.

— A czym wytłumaczysz się na milicji, jak cię zapytają, w jakim celu do tego księdza chodziłeś? Prawdy przecież nie powiesz!

Minęła jedna godzina, druga, aż w pewnej chwili mecenas nagle pochylił się do ucha Uriaszewicza i wyszeptał:

— Uciekaj! — oddech miał ciężki, oczy przekrwione. — W świat! W świat! Pókiś w kraju, Kienzel nie zagna spokoju. Ani ja! Ani ty!

Było późno. Andrzej wprost z dworca pojechał do Hazy, aby złożyć rzeczy, ale nie widział się z kuzynem i dopiero teraz bezpośrednio po rozmowie z Rokicińskim, zaszedł do Hazy. Wpadł jednak z deszczu pod rynnę, gdyż zastał u niego Dubieńskiego.

W jego obecności Haza nie zwracał na Uriaszewicza większej uwagi. Widać było, że Dubieński absorbuje go całkowicie. Pił. Był najwidoczniej podrażniony i zirytowany. Niekiedy, dotknięty szczególnie bolesnym docinkiem, wyciągał w kierunku Dubieńskiego rękę. Wówczas Dubieński leniwie się odsuwał. Z rozmowy tej pełnej nieprzyjaźni i nieszczeroci, tyle że ze strony Dubieńskiego maskowanej bardzo zręcznie, ze strony Hazy — nieudolnie, Andrzej zorientował się, że ci dwaj nieomal się nie rozstają. Jedzą razem obiady, kolacje, wspólnie spędzają wieczory. Kiedy Uriaszewicz o tym napomknął, Haza zawołał:

— Łazi za mną krok w krok! Odczepić się nie można!

— To ty — uśmiechnął się drwiąco Dubieński — to ty mi depcesz po piętach.

— To dlatego, że zachowujesz się jak wariat — krzyczał jeszcze głośniejsze Haza. — Wdajesz się z każdym w rozmowy i żeby cię nie pilnować, gotów byłbyś palnąć głupstwo, które mogłoby cię zgubić!

— A ciebie nie? — spytał Dubieński. I znowu odsunął się od Hazy. — Ale to ładnie — dodał po chwili — że mnie tak pilnujesz. Masz w stosunku do mnie coraz piękniej rozwijające się uczucia macierzyńskie. I słusznie! Bo jakby ze mną co się stało, nie sądzę, abyś zdołał mnie przeżyć. Chociaż byłoby wspaniale gdybyś mógł tego dokonać. Rozesłałbyś po mojej śmierci żałobne fair-part. Podpisałbyś: „w głębokim smutku pograżony przyjaciół”. Przyjaciół? Czy nie lepiej jednak: „kolega z partyzantki”. Albo nawet jeszcze rozwinąwszy tę myśl: „z partyzantką spod Żywca, a zwłaszcza spod Zamościa?”

— Milcz! — zerwał się z miejsca Haza. — Zostaw mnie w spokoju!

— Bo co? — roześmiał mu się w nos Dubieński. — No bo co takiego!

Wyszedł. Zostali sami i dopiero wtedy mogli swobodnie porozmawiać. Andrzej opowiadał, Haza słuchał. Dziwna to była opowieść, bo Uriaszewicz pamiętając, że nikomu przed wyjazdem nie wyznał gdzie jedzie, teraz w dalszym ciągu o wypadkach w Jeżowej Woli, to jest o zabójstwie Kusza i o roli, jaką w tej sprawie odegrał proboszcz Spos, opowiadał tak, jakby wydarzenia te miały miejsce w jakichś lasach, w Poznańskim. Z kilku słów Haza dowiedział się, że Andrzej znał owego księdza. Zagadnął jak doszło do tej znajomości. Uriaszewicz wykreślił się od jasnej odpowiedzi. Wówczas Haza postanowił działać. Potrzebował kogoś do pomocy w swojej robocie, bynajmniej nie tej jawnej, to znaczy nie w garażach! Miał pewien spryt i niejasna odpowiedź kuzyna obudziła w nim nie tyle ciekawość, co pragnienia, by Uriaszewicza zatrzymać w Warszawie. Zatrzymać przy sobie! Przy swojej robocie! Ale na to należało go przede wszystkim odstraszyć od chęci powrotu na wieś.

Przegadali pół nocy. Wahania spowodowane rozmową z wikarym, pogłębione zachowaniem się Tomczyńskiego i groźbami Rokicińskiego, wzmagając teraz nieustrudzony w argumentowaniu Haza. Uriaszewicz był jak najdalszy od tego, by orientować się w jego grze. Bronił się, ale w oporze słabł.

— Nie wracaj! — powtarzał Haza dziesiątki razy, podając wciąż nowe uzasadnienie. — Nie wracaj! A przynajmniej przeczekaj!

Poszli spać. Nazajutrz rano wpadł po Andrzeja Rokiciński. Obiad zjadł Uriaszewicz z Hazą. Z nim również spędził popołudnie. Wieczorem widział się ze Stepczyńską. Zmęczony, rozbity, znękany. Minął jeszcze jeden dzień. Klimontówna nie wracała. Zaszedł do Lubicza, ale go nie zastał. Ucieszył się, nie rozumiejąc jednak przyczyn tej radości. Odwiedził panie Uriaszewiczówny. Kiedy został z babką sam, dowiedział się, że jest zdecydowana zobaczyć Joannę. Myślał o swych sprawach, obiecał staruszkę, że ją przyprowadzi. Oczywiście w całkowitej tajemnicy przed Wandą i Tosią.

I znowu wieczór ze Stepczyńską. Wieczór przykry, zakończony kłótnią. Powodem sprzeczek była znowu zagranica, o której mówiła zwykle komunały. Szermowała autorytetem Joanny. Rozstali się po raz pierwszy zdecydowanie chłodno, nie umawiając się nawet na dzień następny. Bo i po co? — myślał Uriaszewicz. Niepokoiła go myśl o przyszłości. Nie wiedział co z sobą począć. Gdzie się obrócić. Wiedział tylko jedno i przeświadczeniu temu dał wyraz, kiedy Haza spytał:

— A nielegalną robotą byś się nie interesował?

Dalszy ciąg nastąpi





TANIO i ŁADNIE

KAŻDA kobieta pracująca chce ubrać się tanio i praktycznie. Zbliża się zima, a wiele z nas ma już palta mocno podniszczone. Powstaje problem jaki fason wybrać, by był praktyczny i przez dłuższy okres modny.

Oto kilka modeli, z których każda pań może wybrać sobie coś odpowiedniego.

1 Płaszcz o kroju sportowym, praktyczny i wygodny. Przód lekko rozkloszowany, rękawy proste, wszywane, z nakładanymi mankietami. Kołnierz wysoki, na pół wywinięty. Zaplecie dwurzędowe na sześć guzików rozmieszczonych symetrycznie. Tył lekko poszerzony, szew przez środek z rozcięciem u dołu. Kieszenie nakładane. Kołnierz, mankiety, jak również kieszenie przybrane futrem, do czego szczególnie nadają się foki, lub krótko strzyżone baranki. Beret, względnie mały kapelusz przybrany tym samym futerkiem, dopełni całości. Fason ten wymaga tylko dwa i pół metra materiału. Najodpowiedniejszymi kolorami na ten typ praktycznego palta, będą wszystkie odcienie popielatego, a nawet materiał przerabiany w jodełkę.

2 Jest to luźny reglan jednorzędowy, zapinany na cztery duże guziki, przód i tył rozkloszowany. Kieszenie palta pionowo

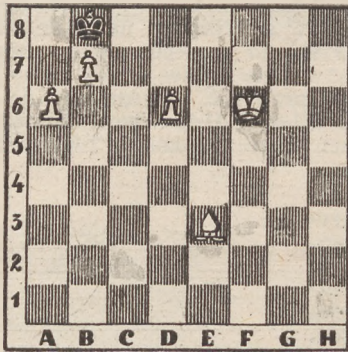
przecięte. Kołnierz bardzo skromny, w typie męskim, wysoko zachodzący na szyję, stojąco wykładany. Szerokie rękawy reglanowe, wszyte półkolisto, zebrane u dołu w parę głębokich zaszepek. Zakończony szeroko wywiniętym mankietem. Ramiona umiarkowanie spadiste. Przybranie kołnierza i mankietów z futra o niewysokim włosie. Mały kapelusz i barwny szalik tworzą skromną, elegancką całość. Model ten wymaga trzech metrów materiału, a najodpowiedniejszymi kolorami będą wszystkie odcienie szarego oraz brązu, ze szczególnym uwzględnieniem kolorów jesiennych liści.

3 Trzecie palto, to jednorzędowy płaszcz, mocno dopasowany w talii, zapinany od samej góry na szereg drobnych guzików. Cięcia w przodzie i tyle dają nam możliwość ścisłego dopasowania góry płaszcza. Rękawy wszyte, wąskie z małymi wywiniętymi mankietami. Kołnierz wysoki, stojący. Kieszenie skośne, wykonane z futra. Dół suto rozkloszowany. Uzupełnieniem praktycznej i efektownej całości będzie zaokrąglona, nieduża mufeczka, oraz mały kapelusz w stylu staromodnej czapeczki. Kieszenie, mufka i kapelusz, przybrane krajowym strzyżonym barankiem, który do złudzenia imituje „karakulu”. Na ten model potrzeba trzy metry materiału. Kolory — modny obecnie granatowy, top i butelkowy we wszystkich odcieniach.

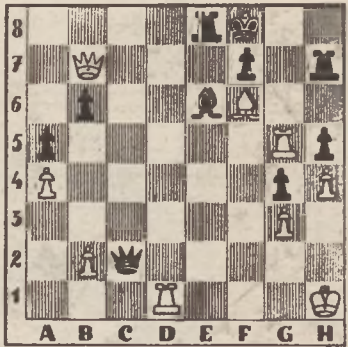
R.

SZACHY

KONKURS A — ZADANIE 17 (autor: Ł. Kubbel)



Mat w 3 posunięciach. Kontrola diagramu: białe: Kf6; Ge3; pa6, b7, d6. Czarne: Kb8.



KONKURS B — ZADANIE 18

Powyższa pozycja pochodzi z partii, rozegranej przez szachistę niemieckiego Krause na turnieju w Lipsku. W jaki sposób białe wygrały?

PARTIA NR 8

grana w turnieju o mistrzostwo Moskwy 1950 r. Białe: J. Awerbach, czarne: O. Moisiejew. Obrona sycylijska.

1. e2—e4 c7—c5 2. Sg1—e2 e7—e6 3. d2—d4 c5:d4 4. Se2:d4 Sg8—f6 5. Sb1—c3 d7—d6 6. Gf1—e2 Gf8—e7 7. o—o 8. f2—f4 a7—a6 9. Kg1—h1 Hd8—c7 10. Hd1—e1 Sb8—c6 11. Gc1—e3 Gc8—d7 12. Wa1—d1 b7—b5 13. a2—a3 Wa8—c8 14. He1—g3 Kg8—h8.

Powstała pozycja, charakterystyczna dla wariantu Scheveningen obrony sycylijskiej. Białe atakują na skrzydle królewskim. Czarne starają się użyć kontrstrasz na skrzydle hetmańskim. Zamiast posunięcia w tekście czarne powinny zagrać 14... S:d4, co znacznie ułatwiło by im obronę.

15. Sd4—f3 b5—b4 16. a3:b4 Sc6:b4 17. e4—e5! Sf6—g8.

Należało grać 17... d:e5 18. f:e5 Sfd5.

18. f4—f5! d6:e5?

Posunięcie to prowadzi do przegranej. Trzeba było grać 18... d5.

19. Sf3:e5 Gd7—e8 20. f5:e6 f7:e6 21. Wf1:f8 Ge7:f8 22. Wd1—d7!!

Tego czarne nie przewidziały. Na 22...Ha5 wygrywa 23. Wf7! Gc6 24. W:g7! i czarne nie mogą obronić dwóch matowych gróźb W:g8 i Sf7. Wobec tego czarne muszą oddać hetmana za wieżę i skoczka, co decyduje o losach partii.

22... Hc7:d7 23. Se5:d7 Ge8:d7 24. Ge3—f4 Sg8—e7.

Nie można 24... S:c2, bo 25. Hd3.

25. Ge2—g4 Wc8—c6.

Na 25... Sed5 mogło nastąpić 26. S:d5 S:d5 27. Gd6 i jeśli 27... W:c2, to 28. h3!

26. Hg3—f2 Se7—g6 27. Hf2—a7 Gd7—c8 28. Ha7—b8 Kh8—g8.

Nie można 28... S:f4, gdyż po 29. H:f4 Kg8 30. Gf3 i białe wygrywają.

29. Gg4—f3 Wc6—c4 30. Gf4—d6 Sb4:c2 31. Gd6:f8 Sg6:f8 32. Hb8—b3 Sc2—e3 33. Sc3—d1 Wc4—c1 34. Hb3:e3 Wc1—a1 35. h2—h3. Czarne poddały się.

ROZRYWKI UMYSŁOWE



REBUS — ŻARCIAK

Z podanego rebusu odczytać zdanie, składające się z trzech wyrazów o początkowych literach: T, R, L.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Za dobre rozwiązanie przyznanych zostanie 10 nagród książkowych.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 14

Poziomo: rufa, polo, opis, Lear, sól, larwa, Aragon, A. N. (Adam Naruszewicz), Krata, Ag (Argentum), urywek, Tęcza, Aza, obaj, gnom, sala, ospa. Pionowo: rosa, upór, Filak, as, plynty, oer, lawa, Oran, Lqara, Gruzja, awans, Atos, gęba, Ezop, Kama, cal, go.

Za dobre rozwiązanie krzyżówki z nr 14 nagrody książkowe otrzymują: 1) Zbigniew Augustyniak — Warszawa 24, ul. Radzymińska 36 m. 5, 2) Janusz Dalkowski — Wawer k/W-wy, ul. Skrzyneckiego 5, 3) Ignacy Janowski — Łódź, ul. Piotrkowska 25 m. 47, 4) Stefan Kawecki — Warszawa, ul. Puławska 1 m. 38, 5) Feliks Nowiński — Zielona Góra, ul. Probotwo 5, 6) Maria Seyrlhuber — Andrychów, Rynek 7, pow. Wadowice, 7) Jadwiga Sirzaikowska — Sopot, ul. 3 Maja 28, 8) Władysław Sumiński — Poznań, ul. Zupańskiego 6a m. 21, 9) Wincenty Śliwa — Chorzów, ul. Hajducka 47 m. 6, 10) Maria Turka — Szczecin, ul. Jagiellońska 23/10. Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie ich odbioru.

FILATELISTYKA



NOWA SERIA ZNACZKÓW BULGARSKICH

Z okazji Dnia Dziecka poczta bułgarska wydała w październiku serię z czterech znaczków pod nazwą „Radosne pokolenie”. Znaczkę wartości 1 lewa w kolorze brązowym — przedstawia fragment żłobka dziecięcego; 4 lew — fioletowoczerwony — zajęcia świetlicowe; 9 lew — zielony — park zabaw dziecięcych; 20 lew — niebieski — miasteczko pionierów.

WÓDZ KOMUNARDÓW

Dokończenie ze str. 12

„General Dąbrowski, to morowy chłop, lat około czterdziestu. Włosy ma jasne jak łany dojrzałego zboża, jest bitny jak szpada. Małego wzrostu, ale niewyczerpanej energii. Wersalczy... cokolwiek zresztą o tym wiedzą. Poświęciwszy się ciałem i duszą wielkiej sprawie Powszechnej Republiki, jako jeden z pierwszych ofiarował się bronić spraw wielkiego miasta”.

Thiers próbował wszelkiej drogi. Nasyłał szpiegów i dywersantów, usiłował podminować Komunę Paryską zdradą i przekupstwem. Miotał też oszczerstwa na Jarosława Dąbrowskiego, proponował mu milionowe sumy za zdradę rewolucji, siał niewiarę nawet w szeregach gwardii przez swoich agentów rekrutujących się z klas posiadających. Echa tej akcji boleśnie raniły Dąbrowskiego, dochodząc go na froncie walk...

Gdy w nocy 21 maja wojska Thiersa dokonały wyłomu przez rogatkę Saint Cloud, generał zebrał wszystkie odwody i przeciwnika zatrzymał. Nad ranem Dąbrowski ocenił, że niebezpieczeństwo jest chwilowo zażegnane i pogalopował sam do Komitetu Ocalenia Publicznego, który przejął niektóre funkcje Komuny. Generał był blady jak płótno, pierś miał kontuzjowaną wybuchem pocisku, słał się na nogach. W tej krytycznej chwili Komitet obradował nad tym, czy Dąbrowskiemu można ufać. Komisarz polityczny przy Dąbrowskim, zacny i rozważny szewc Dereure, ufał mu najzupełniej i dlatego ukrywał przed generałem, że inni go wciąż podejrzewają.

— Jakto? Ktoś mógł przypuścić, że mogę być zdrajcą? — zabrzmiał wstrząsający bólem okrzyk Dąbrowskiego. Wówczas otoczyli go, ściskając mu dłoń, zapewniając o zaufaniu, całując.

— Dajcie mi trochę posiłków, a odpowiadam za całą sytuację! — wykrzyknął z uniesieniem generał. Przed odjazdem na linię walk obszedł wszystkich oficerów sztabu i znacząco każdemu ścisnął rękę. Niektórzy mieli wrażenie, że Dąbrowski żegna się z nimi na zawsze...

Gdy Prusacy, którzy od północy i wschodu jeszcze pilnowali Paryża, przepuścili wojska Thiersa — wzgórze Montmartre zostało otoczone, jednakże Dąbrowski trzymał się całą dobę na barykadzie koło Moulin de la Galette. Jednak i tę barykadę trzeba było wreszcie opuścić. Generał dosiadł konia i skierował się ku następnym barykadom. Nieprzyjacielskie granaty wybuchały bez przerwy. Z barykady zeskoczyła poetka Louise Michel i podbiegła do wodźcy.

— To koniec... to koniec — powiedział z rozpaczą Dąbrowski.

— Proszę jechać dalej, tu grozi śmierć! — zawołała poetka.

Generał zsiadł z konia i prowadził go za cugle. Szedł samotnie w kierunku baterii Vermorela. Tymczasem dostrzegł go patrol wersalski, ostrożnie skradający się pod murem uliczki Myrrha. Huknęły strzały. Dąbrowski padł twarzą naprzód. Pobliska barykada zaroiła się od ludzi, biegnących na pomoc. Na przedzie biegły komunardki.

Ze łzami w oczach gwardziści nieśli generała do pobliskiego szpitala Lariboisière. Pomimo przepełnienia znaleziono nosze. Lekarz stwierdził przebiecie żołądka. Na usta generała wystąpiła krew, żółć. Słyszano, jak coś szeptał, coraz mniej przytomny...

W dwie godziny później już nie żył. Bitwa zbliżała się. Gwardziści podnieśli ciało i wyruszyli do Ratusza. W panującym tu rozgardiaszu zapanowała nagle cisza. Ciało Dąbrowskiego spoczęło na łożu. Zapalono świece. Płomyki ich wahały się przy eksplozjach pocisków, coraz gęściej padających w okolicy: to ciężkie działa morskie Thiersa rozpoczęły swoje niszczące dzieło.

Paryż zaczynał płonać i walić się w gruzy.

Wieczorem, przy świetle pochodni, kondukt z ciałem generała Komuny wyruszył na cmentarz Père Lachaise. Po drodze, u stóp kolumny Lipcowej na placu Bastylli, przedelfowały przed poległym generałem bataliony Gwardii Narodowej. Komuna spowiła swego bohatera w czerwony sztandar, zapaliła wokoło niego setki pochodni, wysłała w nocne mroki dojmujące łoskoty werbli... Vermorel odszedł na chwilę od swej baterii, stanął nad katafalkiem, w imieniu armii ludowej pożegnał towarzysza, poczem powrócił na barykadę.

Słuchaczom upamiętniły się słowa Vermorela: „Otóż i on... Jeden z pierwszych oddał życie za Komunę... Wierzył w czystość rewolucji i padł za rewolucję... A my? Co czynimy, żeby go naśladować? Przysięgnijmy, że odejdziemy stąd jedynie po to, żeby walczyć”.

Gwardziści, którzy przy Dąbrowskim służyli, biegną teraz, żeby go pożegnać ucałowaniem w chłodne czoło. Ostatni adiutant pełni straż przy czerwonym jak krew katafalku, na którym spoczywa w swoim czarnym surducie śmiertelnie blady wódz. Jedyną oznaką jego stopnia są dwa galony na rękawach. I może nikt nie zdaje tu sobie sprawy, że poległy wódz komunardów porwał się już dawniej na potężne imperium carów, że nosił w sobie plany wzniesienia rewolucji w całej Europie!

STANISŁAW STRUMPH - WOJTKIEWICZ

SWIAT o tym wie!

CUD HANDLARZY SOJA

TAJEMNICE historii kryją się niekiedy w najniewinniejszych notatkach gazetowych...

Dn. 16 sierpnia br. w „New York Herald Tribune” ukazała się niewielka rozmiarami wiadomość następującej treści:

„Pięćdziesiąt osób o nazwiskach chińskich (większość przebywa w Stanach Zjednoczonych) zablokowało rynek handlu soją w przededniu wybuchu wojny koreańskiej... Osoby te zarobiły około 30 milionów dolarów wobec gwałtownej wyżki cen soi po wybuchu wojny...”

Kilka słów wyjaśnienia, a zrozumiemy całą wymowę tej notatki:

Owych pięćdziesiąt osób o chińskich nazwiskach, to osobnicy ściśle związani z kliką Czang Kai-szeka, który utrzymuje na terenie Stanów Zjednoczonych liczną organizację. Soja zaś stanowi artykuł ogromnego znaczenia w handlu z Dalekim Wschodem.

W początkach r. 1950 ceny soi na rynkach światowych uległy gwałtownej niższe. Nagle, na kilka tygodni przed wybuchem wojny w Korei, agenci Czang Kai-szeka zaczęli skupywać na prywatny rachunek ogromne ilości soi po owych niskich cenach. Zawodowi kupcy bardzo się dziwili, ale sprzedawali. Tajemnica zakupów wyjaśniła się szybko. Wybuchła wojna koreańska, ceny soi skoczyły w górę i ludzie Czang Kai-szeka zgarnęli do kieszeni 30 milionów dolarów.

Czyżby owi spekulanci mieli jakieś natchnione przeczucie, że warto skupywać soję?... Byłoby to istotnie cudowne wydarzenie. Sprawa tłumaczy się znacznie prościej. Po prostu Departament Stanu poinformował w porę Czang Kai-szeka, że szykuje się napaść na Koreę. A Czang Kai-szek i jego zgraja nie byłiby sobą, gdyby nie zarobili na tej informacji grubych milionów.

To wszystko nie przeszkadzało „New York Herald Tribune” wraz z całą prasą amerykańską twierdzić, że to Korea Północna rozpoczęła wojnę. Handlarze soję wiedzą jednak lepiej, kto przygotowywał wojnę i informował o jej terminie spekulantów.

NIE MORDERCA JEST WINIEN LECZ JEGO OFIARA

WALTER IRVIN leży w szpitalu, spowity w bandaż, mówi z największym trudem. Walter Irvin ma 19 lat i jest Murzynem ze stanu Floryda. Opowiada szepem:

„Wtedy szeryf zaczął coś mówić do swego zastępcy. Zastępca powiedział „O.K.” i auto zatrzymało się. Szeryf zawołał: „Opona nawaliła”, wyciągnął latarkę i krzyknął do nas: „Wysiądać, sk... syny, do roboty!” Razem z Shepherdem siedzieliśmy skuci na tylnym siedzeniu i zaczęliśmy z trudem wysiądać. Zaledwie Shepherd wynurzył się z wozu, szeryf strzelił do niego. Samy upadł, szeryf strzelił jeszcze raz, potem zaczął strzelać do mnie...”

HITLER ODSZEDŁ, GENERALOWIE WRÓCILI

W Paryżu — Adenauer, Acheson, Eden i Schuman omawiają sprawę przyspieszenia tempa remilitary-

zacji Niemiec zachodnich. W Bonn — generałowie Hitlera realizują plany wskrzeszenia „Wehrmachtu”.



Ramcke



Manteuffel

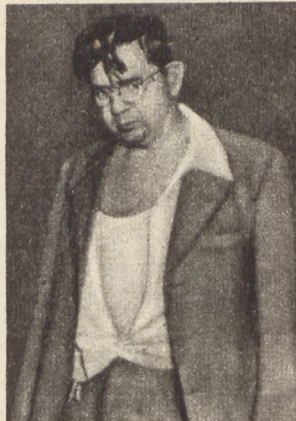


Guderian



TAK WYGLĄDAJĄ DZIS...
Nawet gesty pozostały te same.

Leżałem bez ruchu na ziemi, udając trupa, ale szeryf strzelił znowu. Kula przebiła mi ramię. Potem podszedł zastępca



SZERYF McCALL
Morderca nadal pełni funkcje urzędowe.

szeryfa, słyszałem jak zawołał: „Ten sk... syn żyje jeszcze, trzeba go dobić” i przyłożył mi łufę do głowy, ale pistolet nie wypalił. Za chwilę zmierzył jeszcze raz i tym razem kula przeszła przez szyję. Leżałem jak trup, ale wiedziałem, że jeszcze żyję... I wtedy nadbiegło kilka osób...”

Walter Irvin jest kolejną ofiarą amerykańskiego bestialstwa rasistowskiego. Przed dwoma laty został wraz z Samem Shepherdem skazany na śmierć za rzekome zgwałcenie białej dziewczyny. Sąd Naj-

wyższy uchylił wyrok i polecił sprawę rozpatrzyć ponownie... W przededniu drugiej rozprawy szeryf McCall wraz ze swym zastępcą James Yatesem zgłosił się do więzienia stanowego i zabrał obu więźniów pod pozorem, że ma ich odstawić do sądu. Po drodze rozegrała się tragedia, o której mówił w szpitalu Irvin. Shepherd zginął od kul morderców, Irvin chwilowo ocalał.

Chwilowo — gdyż nie ulega wątpliwości, że po wyzdrowieniu znowu znajdzie się przed sądem i znowu spadnie nań kara śmierci za nigdy nie popełnione przestępstwo.

Szeryf McCall wyjaśnił, że strzelał w obronę koniecznej, gdyż dwaj więźniowie — przykuci kajdanami jeden do drugiego w taki sposób, że ledwie mogli się poruszać — próbowali go zaatakować!



SHEPHERD I IRVIN
„Wiedziałem, że jeszcze żyję...”

Sledztwo, prowadzone przez miejscowe władze, zakończyło się orzeczeniem, że szeryf jest niewinny. Morderca nadal pełni swe funkcje urzędowe.



TAK WYGLĄDĄC BĘDĄ
JUTRO...

...gdy znowu włożą mundury, które właśnie przygotowywano w Trizonii dla kadry nowego „Wehrmachtu”.

„ZACHĘTA” PRZED WYSTAWĄ

Zdjęcia: JAN KOSIDOWSKI

NOS!... Ostrożnie z nosem — błagalnie woła intendent warszawskiej „Zachęty”, Aleksander Rysiński do swego pomocnika. Bo przy rzeźbie, a zwłaszcza takiej z gipsu, to najgorzej z nosami. Trącisz lekko, i nawet nie wiesz kiedy, jak odleci...

Na korytarzach, w halu, we wszystkich salach wszędzie pełno stojących rzędami i leżących wprost na posadzce obrazów, rzeźb, tek z pracami graficznymi itp. Stoją, leżą i czekają na decyzję jury, które oglądać ma je trzykrotnie. Czekają także, podobnie jak ich autorzy, jak i my wreszcie — na otwarcie II Ogólnopolskiej Wystawy Plastyki, które nastąpić ma 17 grudnia br.

Będzie to bezsprzecznie największa z dotychczasowych imprez plastycznych. Dwa tysiące artystów - plastyków z całego kraju zgłosiło na nią przeszło trzy tysiące rzeźb, obrazów i rysunków.

Po przeprowadzeniu wojewódzkich eliminacji dotarło do Warszawy około tysiąca najlepszych prac, z których wreszcie jury wystawy wybierze mniej więcej połowę najdojrzałych pod względem formy i treści.

Jakie prace zobaczymy? Tematyka jest bardzo różnorodna. Dominują obrazy olejne, a wśród nich — portrety. Dział portretów będzie najbogatszy choć nie zbraknie kompozycji figuralnych, krajobrazów itp.

Nie pora jeszcze, rzecz jasna, na próbę jakiejś oceny, pierwszy już jednak spacer po „robiącej się” dopiero wystawie wskazuje, że po jej otwarciu warto będzie przejść się tam nie raz, a kilka razy...

A. W. W.



SPORT



Fot. CAF

Cztery ręce wyciągają się po piłkę po „spornym” Nr. 14 — Nartowski AZS, nr. 3 — Kamiński CWKS.

PIŁKA W KOSZU

KRAKOWSKA Gwardia, warszawski AZS i CWKS są w tej chwili przodującymi zespołami koszykówki. Każde spotkanie tych drużyn ściąga tylu widzów, ile tylko mogą pomieścić nasze szczupłe sale sportowe. Podczas ostatniego meczu pomiędzy AZS i CWKS w Warszawie, publiczność wspinała się nawet na drabinki gimnastyczne, aby dokładnie obserwować emocjonujące spotkanie.

Ostatnio koszykarze nasi występowali za granicą podczas turnieju międzynarodowego w Budapeszcie. Przegrali tam wprawdzie wszystkie spotkania: z Węgrami, Rumunią i CSR, wywożąc bilans koszu dość kiepski — 130:199. Trudne mecze dały jednak naszym zawodnikom wiele cennych doświadczeń. Swego rodzaju program pracy nakreślił polskim koszykarzom przewodniczący sekcji koszykówki węgierskiego komitetu kultury fizycznej, Geza Szilagyi, mówiąc:

— Chłopcy wasi są dobrze wyszkoleni technicznie, lecz muszą obrać prostą taktykę, której celem jest jak najszybsze, a zarazem jak najprostsze zdobycie kosza.

w obronie POKOJU

WIELKA PIĄTKA
PIERRE COT — YVES FARCE
SUEZ — EGIPCI — SUDAN
PABLO NERUDA — IRENA JOLIOT CURIE
KRYZYS IMPERIIUM BRITYJSKIEGO
M. MUSZKAT — M. KOSKOWSKI
P. JASZENICA — ST. LITAUER

Nr 6 LISTOPAD 1951 Cena zł. 1.50

Ukazał się w sprzedaży szósty numer czasopisma „W Obronie Pokoju”. Organ Światowej Rady Pokoju zawiera bogaty materiał artykułowy z dziedziny zagadnień międzynarodowych.

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala 6-11-81, 6-12-88. Administracja: Wiejska 12, tel. 7-52-50. Prenumerata i Kolportaż: PPK „Ruch”, Oddział w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 8-04-20 do 25. Prenumerata miesięczna zł. 4.80 — kwartalna zł. 14.40, półroczna zł. 28.80, roczna 57.60. Należność za prenumeratę wpłacać do P.K.O. Nr I-21040/110.

Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa”, Warszawa, Okopowa 58. 2-B-44199

JAK CIĘ WIDZA, TAK CIĘ RYSUJA...

AMERYKAŃSCY OKUPANCI WE FRANCJI

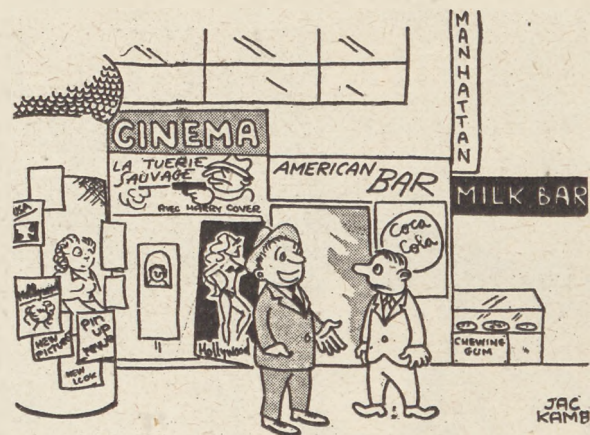


Spotkanie w Paryżu (Speidel, Eisenhower).

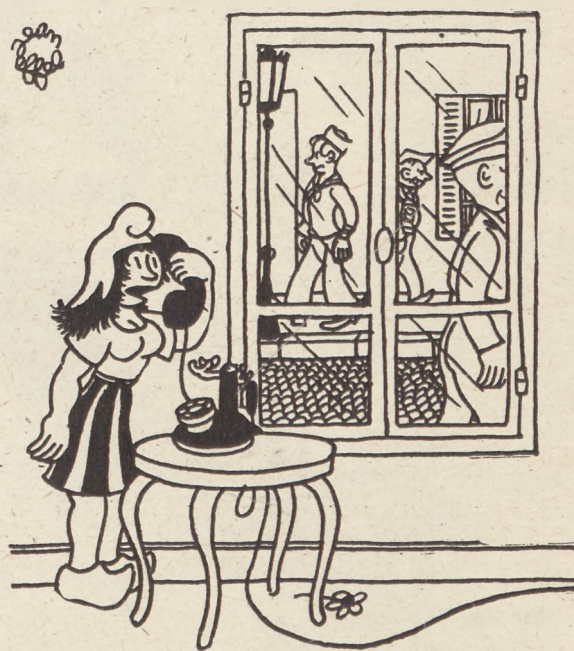
Rys. Mittelberg



Sygnatariusze planu Marshalla, na ramię broń!...



My zamerykanizowani?! Pan żartuje!...



Rys. Jean Effel

Grzegorz, Oskar..., Henryk, Oskar, Maurycy, Ernest!



Rys. Mittelberg

Cóż to, dlaczego nie salutujecie?

CORAZ TRUDNIEJ O CHĘTNYCH...



— Panowie z Malej Azji,
nie traćcież okazji.
Ja kilka kukiel jeszcze
w kolekcji swojej zmieszczę!

Ja przecież jestem gotów
oszczędzić wam kłopotów,
kłopotów z obronnością,
kłopotów z wolnością...

Z Egiptem mi nie idzie,
wciąż w gorszej jestem bidzie...
Więc może w końcu zwabę
choć Liban lub Arabię?

O Syrio, o Jordanie,
poczułem niespodzianie
sympatię do was nagle!

— Że co...?

Frajerów zbrakło...?!

J. J.